



POKREWNE DUSZE

GINNA GRAY

Tłumaczyła Bernadetta Gmurek-Zabłocińska



Rozdział 1

- Bob i Susan zamierzają adoptować dziecko.
- Mhm...

Moment później Jack Riley podniósł głowę znad papierów i przyjrzał się zza biurka Caroline Simthson zwiniętej w kłębek w rogu skórzanej sofy. Przeglądała właśnie dzisiejszą pocztę.

- Co powiedziałaś? - zainteresował się.
- Bob i Susan adoptują dziecko.
- Chyba żartujesz.
- Ależ skąd! Dostaliśmy zawiadomienie. Piszą, że pojawienie się Kevina w ich życiu dało im tyle radości, że jeszcze raz chcieliby to przeżyć. Susan nie może mieć więcej dzieci, więc postanowili przygarnąć sierotę i stworzyć jej dom. Adoptują Euroazjatkę, dziewczynkę, która nazywa się... Gdzie to jest... - Caroline jeszcze raz przejrzała list. - A tak, Kim Lee. Ma dwa miesiące, jest pół-Koreanką, pół-Amerykanką. Przyleci na międzynarodowe lotnisko w Houston w następny czwartek o siódmej wieczorem. Bob i Susan chcieliby widzieć tam całą swoją rodzinę

i przyjaciół, spodziewają się, że powitamy wraz z nimi nową córeczkę.

- Nie wierzę. Wczoraj jadłem lunch z Bobem, nic nie wspomniał o tym ani słowem.

- Pewnie chcieli zrobić wszystkim niespodziankę.

Caroline wpatrywała się w bladą różową kartkę, zdając sobie sprawę, że dzieje się z nią coś dziwnego. Czowała jakiś ucisk poniżej mostka, jakby coś utkwilo w tym miejscu i utrudniało oddychanie. Zastanawiała się, dlaczego wiadomość tak bardzo ją poruszyła, czemu zbierało się jej na płacz. To do niej niepodobne.

- Mogę jedynie powiedzieć, że przysparzają sobie kłopotów - odezwał się Jack. Potrząsnął głową; niesforny czarny kędzior opadł jak zwykle na czoło. Poprawił machinalnie włosy i wrócił do wydruków leżących na biurku.

- No, nie wiem... - Po chwili Caroline dodała: - Musisz jednak przyznać, że Kevin jest kochanym chłopczykiem. Wygląda na to, że lubisz jego towarzystwo.

- Taak, dzieciak jest w porządku. Poczekać jednak kilka lat. Dorośnie, będzie nastolatkiem i nieźle da wszystkim w kość. Zobaczymy wtedy, czy dalej będziesz uważała, że jest taki słodki. W kontaktach z nim najbardziej podoba mi się fakt, że to syn Boba i Susan, a nie nasz. Wracamy do domu, a on zostaje z nimi.

Zabrzmiało to nonszalancko, a nawet chłodno, lecz Caroline wiedziała, jaki ból kryje się za tymi słowami. Spojrzała ze smutkiem na pochyloną głowę Jacka. To nie tak, że on nie chciał mieć dzieci. Nie chciał jedynie ryzykować, że

przypadnie im w udziale takie dzieciństwo, jakiego oni sami doświadczyli.

Zgadzała się z nim całkowicie. Lecz mimo to nie mogła na tym zakończyć rozmowy.

- To nieprawda. Chociaż... oni na pewno są innego zdania. - Co ją naszło? Przecież nie myśli o założeniu własnej rodziny. Co to, to nie, Boże uchroni.

- Taak, no cóż, to dlatego, że oni bujają w obłokach.

- Pewnie masz rację.

Caroline usiłowała przestać się roztkliwiać, lecz coś w jej głosie przykuło uwagę Jacka.

- Oczywiście, że mam rację - stwierdził.

Wstał, podszedł do sofy, usiadł przy Caroline, przytulił ją, odwrócił jej twarz ku sobie i ciepło się uśmiechnął.

- Cieszę się, że żadne z nas nie uwierzyło nigdy w mity związane z małżeństwem, dziećmi i wszystkimi wynikającymi z tego obciążeniami. Spójrz na nas. Jesteśmy razem od sześciu lat. Stanowimy żywy dowód na to, że aby do siebie należeć, nie potrzebny jest żaden świstek papieru.

Mam rację?

- Masz - przytaknęła Caroline, lecz jej uśmiech wypadł blado. Co się z nią stało? Oczywiście, że się z nim zgadzała. Całkowicie. Oboje podzielali pogląd, że małżeństwo to głupota - właśnie to, przede wszystkim, ich do siebie zbliżyło.

Taki wniosek wyciągnęli z wielu pomyłek matrymonialnych swoich rodziców. Rodzice jej i Jacka zawarli łącznie osiemnaście małżeństw. Za każdym razem powtarza-

li z entuzjazmem, że tym razem „to właśnie ten jedyny” związek zapisany w gwiazdach, który będzie trwał wiecznie.

- Nie wyglądasz na zbyt przekonaną.

- Ach, nie zwracaj na mnie uwagi - spojrzała na niego z ukosa - po prostu nie jestem w nastroju.

- Naprawdę? Tak mi przykro. Co się stało, kochanie?

Zainteresowanie okazane przez Jacka nie tylko nie pomogło, ale nawet jeszcze spotęgowało jej przygnębienie. Od miesięcy była niespokojna, nie mogła się skupić, w jakiś nieokreślony sposób coś jej doskwierało. Czuła się diabelnie źle i nie wiedziała dlaczego. Bolało ją również to, że on nic nie zauważył.

Twierdził, że ją kocha i nie dostrzegał do tej pory, że coś ją gryzie?

Inni już dawno się zorientowali. Na przykład jej współniczka. Ale ona i Louise Ritter były najlepszymi przyjaciółkami jeszcze od czasów szkoły średniej, na długo przed tym, zanim otworzyły Ambiente, a Caroline poznała Jacka. Jedną drugą znała na wylot.

Nawet jednak jeśli tak było... przecież Jack jest jej kochankiem od prawie siedmiu lat. Od sześciu razem mieszkają. Powinien więc dostrzegać najdrobniejsze zmiany jej nastrojów.

Caroline poczuła gniew, lecz nim zdążyła coś powiedzieć, Jack pogłaskał ją po policzku.

- Biedne kochanie. Myślę, że się przepracowujesz. Powiem ci coś. Jak tylko skończę ten monachijski projekt,

weźmiemy sobie tydzień czy dwa wolnego i wyjedziemy gdzieś. Tylko my, we dwoje. Co ty na to?

Jego niebieskie oczy były pełne miłości, czułość wygładziła surowe przystojne rysy. Caroline patrzyła na tę ukochaną twarz, ucisk w piersiach zaczynał ustępować. Jakaż z niej idiotka! Jak, choćby przez chwilę, mogła być niezadowolona, skoro miała Jacka?

Ułożyła kiedyś listę rysów charakteru i cech, które pociągały ją w mężczyźnie, nawyków, które aprobowała. Nikt inny nie spełniał lepiej tych kryteriów niż on.

Jack był silny i tak potężnie umięśniony, że czasem na sam jego widok przechodziły ją ciarki. W interesach twardy i kompetentny, nieustępliwy, gdy zachodziła potrzeba. Za to jako kochanek - czuły i namiętny, do tego wspinały kompan. Miał otwarty umysł, cięty dowcip; potrafił też śmiać się z samego siebie, co zjednywało mu powszechną sympatię.

Jednym słowem był dla niej wszystkim. Od chwili gdy się spotkali, doskonale pasowali do siebie. Pokrewieństwo duchowe i fizyczny pociąg związały ich ze sobą tak silnie, jakby byli dwiema połówkami tej samej całości. Odnaleźli w sobie nawzajem to, czego do tej pory brakowało im w życiu: miłość, zrozumienie, koleżeństwo. Nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez niego.

Irytacja rozwiała się jak dym. Caroline uśmiechnęła się, patrząc na kochanka, i poprawiła mu niesforny lok. Dotknęła jedwabistych kędziorów, poczuła ciepło skóry. Nawet teraz, po tak długiej znajomości, dotykanie go wciąż sprawiało jej

tak wielką przyjemność, że krew zaczynała szybciej krążyć w żyłach.

- Ach, Jack - zamruczała, patrząc na niego czule. - Ty zawsze wiesz, jak podnieść mnie na duchu. Marzę tylko o jednym: odlecieć gdzieś z tobą, gdzieś daleko...

- Świetnie. Czemu nie mielibyśmy popłynąć do Meksyku na pokładzie „Free Spirit”? - Pocałował ją w usta i w policzek. - Kochać się w świetle księżyca, na brzegu oceanu - kuśił seksownym szeptem, podczas gdy jego język kreślił esy-floresy na skórze kochanki. - Podoba ci się ten pomysł, kochanie? - spytał.

- Tak! Tak! - Przytuliła się mocniej, szukając jego ust. - Całuj mnie, kochany, całuj...

Zamknął jej usta pocałunkiem, przerywając namiętne prośby. Długi, gorący, bezwstydnie zmysłowy pocałunek. Skórzana sofa zatrzeszczała, kiedy opadli na poduszki.

Caroline nie od razu usłyszała natarczywy dzwonek telefonu. Jack rozejrzał się nieprzytomnie, ona jęknęła i usiłowała położyć się z powrotem.

- Nie, kochanie. Telefon...

- Nie odbieraj.

- Muszę. Może to coś ważnego. - Pocałował ją w usta i podniósł się.

- Słucham, Riley - powiedział do słuchawki. - Ach, cześć Melisso, co słychać?

Caroline zorientowała się, kto dzwoni, i podziałało to na nią jak zimny prysznic. Przymknęła oczy, usiłowała opanować oddech. Melissa, jak zwykle, wykazała się nadzwyczajnie

czajnym wyczuciem. Można by pomyśleć, że asystentka Jacka podgląda ich z ukrytej kamery.

Usiadła, poprawiła ubranie i spojrzała na kochanka. Jack coś notował, usadowiwszy się na rogu biurka, słuchawkę przytrzymał ramieniem. Koszula, rozpięta i wypuszczona ze spodni, majtała się wokół bioder, ciemne włosy były w zupełnym nieładzie. Kobieta po drugiej stronie słuchawki musiała bardzo go zaabsorbować.

Melissa Atkins była solą w oku Caroline, odkąd Jack ją zatrudnił. Śliczna, seksowna, inteligentna, absolutnie pewna siebie blondynka. Dwudziestopięciolatka. O siedem lat młodsza od Caroline.

Jack uważał, że jest wspaniała. Efektowna, zdolna do intensywnej pracy, bystra, niezastąpiona jako asystentka. Bez przerwy wyśpiewywał peany na jej cześć.

Caroline nie ufała jej. Ani trochę.

Melissa była typem ambitnej manipulatrix, osobą, która nie cofnie się przed niczym, chcąc zdobyć to, czego pragnie. Caroline nie przypuszczała, żeby Jack - przynajmniej na razie - myślał o jakimś romansie z Melissą, ale ta na pewno zagięła na niego parol.

Jack - jak większość mężczyzn - pociągał kobiety, puszczał mimo uszu przycinki pod swoim adresem, subtelne złośliwości ze strony Melissy. Przy nielicznych okazjach, kiedy spotykały się sam na sam, asystentka była serdeczna i zachowywała się bardzo oficjalnie. Tylko inna kobieta mogłaby zrozumieć podteksty, kryjące się za tymi gładkimi słówkami.

Caroline zrozumiała te podteksty; wiedziała doskonale, że od Melissy otrzymała przesłanie sformułowane jasno i wyraźnie: ona, Melissa Atkins, pragnie Jacka Rileya, zamierza go zdobyć, a Caroline nie jest kimś, kto mógłby stanąć jej na drodze i przeszkodzić w osiągnięciu zamierzonego celu.

Jackowi nie warto było o tym mówić, choć, Bóg jej świadkiem, próbowała. Z początku śmiał się jedynie z tego. Ona jest jedynie moją asystentką, nikim więcej - tłumaczył. Gdy jednak ostatnio poruszała ten temat, coraz częściej wpadał w złość.

Nie dalej jak tydzień temu doszło między nimi nawet do sprzeczki, najgorszej jaka do tej pory im się przytrafiła. Caroline zorientowała się, że to woda na młyn Melissy, i poprzysięgła sobie nigdy więcej tego nie robić. Zazwyczaj, gdy chodziło o ocenę charakterów, Jack wykazywał się zdrowym rozsądkiem. Jeśli jednak w grę wchodziła Melissa, był jak dziecko zagubione we mgle.

Teraz też zdawał się bez reszty pochłonięty rozmową z asystentką. Caroline bębniła palcami po oparciu sofy, chrząkała, usiłowała na siebie zwrócić uwagę Jacka. Bezskutecznie. Po dwudziestu minutach (mówiła głównie Melissa) wstała wreszcie i wyszła z pokoju.

Przygnębiona Caroline siedziała przy biurku, opierając głowę na rękę wspartą łokciem o blat. Louise Ritter podniosła wzrok znad próbek materiałów, które właśnie oglądała.

- Nie powiesz mi chyba, że wciąż jesteś taka przybita?
- zapytała.

- Co takiego? - Caroline nieprzytomnie przyjrzała się przyjaciółce. - Ach, nie, nic podobnego. Czuję się świetnie.

- Nie wciskaj mi kitu. Rozmawiasz ze mną, kapujesz? A ja jestem twoją najlepszą przyjaciółką. Widzę przecież, że od tygodni coś cię gryzie. Czekam i czekam, aż wyrzucisz to z siebie, ale moja cierpliwość się kończy. Wyduś wreszcie, o co chodzi.

Mimo depresji Caroline zdołała się uśmiechnąć. Louise, jak zwykle, waliła prosto z mostu. Cierpliwość i takt nie były z pewnością jej mocną stroną. To, że do tej pory milczała, zakrawało na cud.

Louise nie miała racji tylko co do jednego: chandra zaczęła się nie kilka tygodni, ale kilka miesięcy temu. Pozbawiała ją energii, nie pozwalała się skupić.

- Prawdę mówiąc - zaczęła Caroline - sama nie bardzo wiem, co się ze mną dzieje. Czuję się... nie wiem, jak to określić... jakaś taka niespokojna, z czegoś niezadowolona - bezradnie rozłożyła ręce - nie rozumiem, czemu jestem taka przybita, ale nie potrafię sobie z tym poradzić. Wiem, że to głupie i bezsensowne. Mam wszystko, o czym można marzyć: cudowny kochanek, dobrze prosperujący interes, świetni przyjaciele, finansowo jestem zabezpieczona, zdrowie mi dopisuje. Nie powinnam się trapić, no nie?

- Coś jednak musi cię gryźć. Inaczej nie byłabyś w takim dołku.

- No cóż... ostatnio Jack i ja... A zresztą nieważne. To takie banalne, jeśli się komuś o tym opowiada.

- Co takiego? No co? Dalej Caro, nie możesz tak sobie zaczynać i przerywać w pół słowa. Wyrzuć to z siebie.

- To jakby... czuję, jakby coś cudownego ulotniło się z naszego związku. Wiedziałam, że to zabrzmiało głupio. Zadowolona?

- Nie przesadzaj, to wcale nie jest takie głupie. Za tym mogą kryć się poważne problemy. No więc tak, macie kłopoty. Czy chodzi... wiesz... no, o łóżko?

- Nie, w żadnym razie! To nie to. - Caroline z trudem przychodziło do głowy, że Jack mógłby z niej zrezygnować. Ich pożycie było namiętne, obydwójgu dostarczało satysfakcji. Tego jednego była naprawdę pewna. - Po prostu on ostatnio stał się jakiś taki mało spontaniczny, mało radosny; bierze mnie, jakby mu się to należało. Zapomniał o bożym świecie w związku z tym monachijskim projektem.

- Rozumiem. I to wszystko? Cóż, nic w tym dziwnego. To raczej normalne. Jack zajmuje się budową tej fabryki, pochłania mu to mnóstwo czasu. Nigdy wcześniej nie martwiłaś się o niego.

- Wiem. Ale tym razem jest inaczej. Ledwie dostrzega, że w ogóle istnieję. Pracuje nawet w domu. Gdybym nie odwiedzała go w pracowni, wcale byśmy się nie widywali. Wydaje się mu, że jest życzliwy, a przez ostatnie miesiące był tak zajęty, iż nie zauważył, że mam jakieś problemy. No i jeszcze ta wszechobecna panna Atkins. Ostatnio spędza z nią więcej czasu niż ze mną. Ta kobieta nigdy nie zrezyg-

nuje z okazji, żeby się z nim skontaktować. Przysięgam ci, wynajduje wciąż jakieś preteksty, choćby po to, żeby do nas zadzwonić.

- Dziewczyno, ty chyba rzeczywiście masz nie najlepsze wyobrażenie o mężczyznach. - Louise wyszła z za biurka i stanęła nad przyjaciółką, podparwszy się pod boki.

- Zaś jeśli chodzi o tę spragnioną gorących facetów pannę,

to sama sobie będziesz winna, jeśli sprzątnie ci Jacka sprzed nosa. W końcu jest kawalerem.

- Przestań, Louise! - Caroline rzuciła jej surowe spojrzenie.

- Ja tylko przedstawiam fakty - wzruszyła ramionami.

- Nie jesteście małżeństwem, nie jesteście nawet zaręczeni, więc cały układ z panną Atkins jest zupełnie fair ze strony Jacka.

- Może i tak, ale on kocha mnie. Z wzajemnością. Powiedzieliśmy to sobie jasno.

- Caro, wiesz, że lubię Jacka, ale to samiec, przystojny diabeł, a mężczyznom, kiedy są z kimś tak długo, jak w waszym przypadku, często zdarzają się skoki w bok. Szczególnie kiedy uwodzi ich młoda i piękna kobieta. On cię kocha, ale gdzieś tam w podświadomości czai się pokusa. I ma gotową wymówkę: nie jesteście przecież małżeństwem.

- Cóż, wielkie dzięki, Louise. To naprawdę bardzo mi pomogło.

- Ja tylko chcę, żebyś się ocknęła i stawiła czoło rzeczywistości.

- Tracisz czas. Jack i ja czujemy się świetnie.

- Słuchaj! Ja po prostu...

Louise urwała w pół słowa. W drzwiach stała Stephanie Baker, zatrudniona tu kiedyś jako recepcjonistka.

- Steph! Jaka miła niespodzianka! - obydwie przyjaciółki odezwały się równocześnie. - Spójrz, Caro, Stephanie przyniosła dziecko.

- Cześć. Amy i ja wracamy właśnie z okresowej kontroli u lekarza. Byłyśmy niedaleko, więc wpadłam, żeby wam pokazać, jak bardzo urosła.

Objuczona ogromną paczką pieluch, wielką torbą i nosidłem dla dzieci, Stephanie wyglądała tak, jakby zaraz miała się przewrócić. Rzuciły się jej z pomocą.

Louise z wprawą wyciągnęła dziecko z nosidła. Caroli-ne zdjęła z ramienia Stephanie ogromną torbę i ugięła się pod jej ciężarem.

- Holender! Co w niej jest?

- Tylko kilka podstawowych drobiazgów - roześmiała się Stephanie. - Byłabyś zdziwiona, wiedząc, jak wiele rzeczy trzeba kupić dla dziecka.

- Caroline, chodź zobacz ten najpiękniejszy drobiazg - zachwycała się Louise, nachylając twarz nad malutką Amy. - Jaka śliczna!

Caroline miała co do tego pewne wątpliwości. Była z Louise w szpitalu, gdzie Stephanie urodziła Amy. Noworodek był pomarszczony, czerwony, kościsty jak oskubany kurczak. Caroline wygłosiła stosowne komplementy pod adresem młodej matki, powiedziała chyba wszystko, co

w takiej chwili można było powiedzieć, ukryła tylko to, że nie rozumie, jak można wygadywać tyle bzdur na widok tak brzydkiego stworzenia.

Przyjrzała się uważnie różowo białemu zawiniątku, które Louise trzymała w ramionach, i przeżyła szok. Dziewczynka przeistoczyła się w puciołowatego, pięknego cherubinka, z ustami niczym pączek róży i ciemnoniebieskimi oczami, największymi, najśliczniejszymi, jakie kiedykolwiek widziała.

- Ona jest... naprawdę wspaniała - szepnęła. Dziecko spoglądało na Caroline, a ona czuła, że coś chwytą ją za serce. Było to dziwne uczucie.

Dotknęła policzka i paluszków maleństwa, skóra dziewczynki była aksamitna i ciepła.

- Boże, jak ona mocno trzyma! - zawołała, gdy Amy chwyciła ją za palec.

Stephanie spojrzała na córkę z macierzyńską dumą i uśmiechnęła się.

- Caroline, weź ją na ręce - zasugerowała Louise.

- Co? Ach, nie. Nie wiem jak. Mogłabym jej zrobić krzywdę.

- Bzdura. Poradzisz sobie. - Podała Caroline dziecko, nim ta zdążyła się wycofać. - Weź ją na ręce. Może chce, żeby jej się odbiło.

Caroline ostrożnie umieściła dziecko na ramieniu, trzymając za tyłeczek i podpierając plecy. Amy gaworzyła, machając piąstkami. Nagle przytuliła się do obcej kobiety.

Caroline wstrzymała oddech. Ogarnęło ją ciepło, które

stopniowo rozlało się po całym ciele. Chciało się jej jednocześnie śmiać i płakać.

Nie zdawała sobie sprawy, jak malutkie jest takie dziecko, jak całkowicie bezbronne, miękkie i ciepłe.

Ulegając potrzebie, której nie rozumiała, poklepała pokrytą puszką główkę, przytuliła twarz do szyi dziecka. Poczowała jego cudowny zapach. Ścisnęło się jej serce, ze wzruszenia nie mogła wykrztusić słowa.

- Stephanie - odezwała się Louise - jeśli zmienisz zdanie, zawsze możesz wrócić do pracy, posada czeka. Nie znaleźliśmy nikogo na twoje miejsce.

- Dziękuję, pani Ritter, ale nie sądzę, żeby to było możliwe. Mam teraz najważniejszą pracę na świecie: muszę opiekować się Amy. Trochę ciężko związać koniec z końcem tylko z jednej pensji, ale oboje z Davem jesteśmy zdania, że o małą najlepiej zatroszczyć się. Właśnie, muszę już lecieć. Amy o tej porze najbardziej lubi być w domu. Może jeszcze kiedyś tu wpadnę.

Caroline niechętnie oddała dziewczynkę matce. Po ich wyjściu wróciła za biurko, lecz zamiast pracować, gapiała się bezmyślnie przez okno. Czemu poczuła się tak dziwnie? Skąd ta błogość, którą poczuła, trzymając w ramionach małą Amy? Przecież co tylko niemowlę, bachor, który wrzeszczy, robi pod siebie i nie daje spać.

Nie zauważyła, że Louise stoi przed nią i spogląda z miną kota, który właśnie połknął kanarka.

- O co chodzi? - uniosła brwi.

- Zmieniłam zdanie.

- Tak? Na jaki temat?

- Nie chodzi o to, że Jack cię zaniedbuje, ani o to, że panna Melissa Gorące Majtki kłusuje w twoim rewirze. Problem polega na tym, że cyka twój zegar biologiczny.

- Co takiego? To największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś zobaczyła swoją twarz, kiedy trzymałaś Amy. Chcesz dziecka, i to strasznie chcesz. Jeśli masz odrobinę rozumu, wyjdiesz za Jacka i założycie rodzinę.

Caroline ogarnęła paniką, zaczęła mówić ostrzejszym tonem, niż zamierzała.

- Nie bądź śmieszna. Nie ma we mnie żadnych macierzyńskich uczuć. A jeśli nawet, to małżeństwo nie wchodzi w grę. Wiesz, co oboje z Jackiem sądzimy na ten temat. Nie zdajesz sobie nawet sprawy, ile tak zwanych „szczęśliwych małżeństw” splajtowało. Matka Jacka wyszła właśnie za piątego faceta, a jego ojciec zenił się i rozwodził czterokrotnie. Moja własna matka spędza miesiąc miodowy na Karaibach z mężem numer sześć, który, nota bene, jest od niej jedenaście lat młodszy.

- A twój ojciec? Charley wygląda na szczęśliwego, a ożenił się z Alną już dwadzieścia trzy lata temu.

- No tak, tata. Wygląda na to, że za trzecim razem przez przypadek mu się udało. - Caroline spojrzała zimno na współniczkę.

Zawsze była bliżej z ojcem niż z matką, lecz miłość do niego nie była aż tak ślepa, by nie dostrzegać jego błędów.

- Jesteś cyniczna Caro. I po prostu niesprawiedliwa. Spójrz, dookoła jest tyle szczęśliwych małżeństw. Na przykład Roger i ja. Jesteśmy ze sobą już dziesięć lat, mamy dwójkę dzieci, a ja z każdym dniem coraz bardziej kocham tego starego zrzedę.

- Tak, ty i Rog stanowicie wyjątek.

Louise zirytowała się.

- Nie interesuje mnie, co mówisz, Caroline Smithson, bo znam cię na wylot. Niezależnie od twoich doświadczeń, od głupiego układu zawartego z Jackiem, potrzeba ci tego samego, czego chce większość kobiet: własnej rodziny, dzieciaka albo i dwójki, huśtawki za domem na przedmieściu, może nawet psa.

- Ach, nie truj! To jakiś absurd!

- Trata-tata. Tylko tak gadasz. A ten dźwięk? Nie robi na tobie wrażenia?

- Jaki dźwięk?

- Cyk, cyk, cyk...

Rozdział 2

Przez kilka następnych tygodni Caroline wmawiała sobie, że Louise się myli. Cały ten pomysł był po prostu śmieszny, zupełnie niedorzeczny. Przecież większość znajomych zaniechała już prób zaciągnięcia ich przed ołtarz. Louise, szczęśliwa mężatka, uważała natomiast, że małżeństwo to sposób na pomyślność dla każdego, a już szczególnie dla jej najbliższej przyjaciółki.

Jedno, co muszę zrobić - powtarzała sobie Caroline - to zapomnieć o tym wszystkim jak najszybciej.

Lecz jakoś jej się to nie udawało. Łapała się na tym, że bez przerwy myśli o teorii Louise. Mogła przeglądać próbki tkanin na obicia mebli, zastanawiać się nad projektowanym wnętrzem dla klienta lub targować się z dostawcą, lecz zawsze w końcu zaczynała rozmyślać o dzieciach i obrączkach.

Gdy tylko stawała w pobliżu Louise, jej najlepsza przyjaciółka posyłała jej szelmowski uśmiech, mruczając pod nosem: „Cyk, cyk, cyk”.

Do diabła z tym! Jestem szczęśliwa z Jackiem w takim

związku, na jaki oboje się zgodziliśmy - powtarzała sobie z uporem. Przecież, u diaska, zazdrościli im wszyscy znajomi! Mieli wszystko: kochali się, odnosili sukcesy zawodowe w dziedzinach, które uwielbiali, cieszyli się dobrym zdrowiem, mieli wspaniałą apartament, a nawet luksusowy kabinowy jacht. Nie krepowały ich dzieci, mieli czas, pieniądze i możliwości, aby cieszyć się sobą i życiem. Tylko głupiec narzekałby, będąc na ich miejscu.

Przypominanie sobie tego nic nie pomagało.

W końcu Caroline pomyślała, że czas uświadomić sobie na nowo, czemu jest taką przeciwniczką małżeństwa. Zaprosiła ojca na lunch.

Punktualny jak zawsze, Charley Smithson zjawił się pierwszy w restauracji.

- Cześć, tato, przepraszam za spóźnienie - powitała go.

Podniósł się na widok córki, a w niej wezbrała fala

miłości i dumy. Mimo sześćdziesiątki ojciec był wciąż smukły. Siwe włosy, błękitne oczy i ostre męskie rysy twarzy - jak nic przystojniak w typie Paula Newmana.

Charley Smithson był jednym z najwspanialszych facetów, jakich kiedykolwiek spotkała. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, jak matka mogła porzucić go dla kogokolwiek innego. Widać Lilah była jedną z tych kobiet, które za miarę własnej wartości uznawały ilość mężczyzn, którzy na nie lecieli; chciała zapomnieć o upływie czasu, znajdując sobie coraz młodszych partnerów.

- Cześć, głuptasku! Jak się miewa moja najukochańsza córeczka?

Caroline usiadła na podsuniętym krześle i żartobliwie wykrzywiła się do ojca.

- Świetnie. Skoro zaś jestem twoją jedyną córką, jedynym dzieckiem, to mógłbyś powitać mnie jakimś komplementem, a nie nazywać głuptaskiem.

- Cóż, jestem pewien, że Jack prawi ci ich wystarczająco dużo. A przy okazji: jak on się miewa?

W głosie ojca dało się wyczuć nieco twardszą nutę. Bardzo lubił Jacka, lecz pod pewnymi względami był staroświecki i nigdy nie pogodził się z faktem, że tych dwoje mieszka razem bez ślubu.

- Ma się doskonale. Pracuje teraz ciężko - fabryka elektroniki w Monachium. - Kelner podał karty, zarekomendował dania polecane przez szefa kuchni i dyskretnie się wycofał.

- Co u Almy? - spytała Caroline, studiując menu.

- Wspaniale. - Twarz ojca wypogodziła się na myśl o żonie. Alma była niska, pulchna i pełna macierzyńskich uczuć, Charley ją uwielbiał. - Jest dziś zajęta w szpitalu jako wolontariuszka, inaczej byłaby tu z nami. W każdym razie przesyła ucałowania. Kazała mi też przekazać, że chciałyby widzieć ciebie i Jacka na kolacji w przyszłym tygodniu. Prosi o telefon.

- Zadzwoń. To byłoby miłe spotkanie. - Caroline lubiła macochę, lecz była zadowolona, że Alma tym razem się nie zjawiała. Chciała pogadać z ojcem sam na sam.

- A co u Lilah?

- Myślę, że świetnie się bawi. Wciąż pływa po Karai-

bach z tym swoim małoletnim oblubieńcem. No wiesz... - Caroline zatrzepotała rzęsami i zaczęła przedrzeźniać matkę: - Robbie, kochanie...

- Caro, nie bądź taka cyniczna. Może tym razem naprawdę odnajdzie szczęście.

- Możliwe - odparła.

Kelner przyniósł to, co zamówili. Gdy odszedł, ojciec pociągnął łyk wina i uśmiechnął się do córki.

- Jeśli już mowa o szczęściu... Kiedy zamierzacie pobrać się z Jackiem i obdarzyć mnie wnukiem?

- Rozmawiałaś z Louise? - Caroline spojrzała na niego ze złością. Poglądy ojca na jej związek z Jackiem nie były żadną tajemnicą, lecz rzadko zdarzało się, by bezpośrednio wyrażał swoje zdanie. Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, trudno było to uznać za przypadek.

- Coś mi wspominała, że nie jesteś w najlepszej formie.

- I przypuszczam, że przedstawiła ci swoją teorię na temat mojego stanu? - odparła rozdrażniona Caroline. Niech no tylko wróci do biura, a zedrze pasy z tej Louise.

- Co w tym złego? - Charley wziął córkę za rękę, poklepał po dłoni. - Louise jest twoją przyjaciółką, kochanie, troszczy się o ciebie. A mnie się wydaje, że ma rację.

- Oboje jesteście w błędzie. Nie zamierzam wychodzić za mąż ani mieć dzieci. - Nagle poczuła, że jest zbyt zmęczona i bliska łez, aby udawać nonszalancję. - Na Boga, przecież nauczyłam się tego, patrząc na ciebie i matkę! Czemu miałabym rujnować sobie życie w ten sam sposób?

- Obawiałem się, że tak o tym myślisz - mocniej ścis-

nał rękę córki. - Caro, nie wszystkie małżeństwa muszą być katastrofą. Na przykład Alma i ja: minęły już dwadzieścia trzy lata od naszego ślubu.

- Ale przedtem dwa razy poniosłeś klęskę.

- Kochanie, posłuchaj mnie - ojciec poprawił się na krześle - nie chcę oskarżać twojej matki, ale nie będę też usiłował zrozumieć pobudek, które nią kierowały. Wiem tylko, że bardzo ją kochałem, byłem wściekły i zraniony, kiedy odeszła z innym. Nie powinienem żenić się z Nancy, a już na pewno nie tak szybko po rozwodzie z Lilah. Wobec niej nie było to fair - ot, moja głupota. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko jedno: moja duma została urażona, chciałem odegrać się na twojej matce. Lecz kiedy spotkałem Alnę, wiedziałem, że to właśnie ta kobieta. Tak samo jak Jack jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie. Proszę, Caro, nie odmawiaj sobie szczęścia tylko dlatego, że ja i matka popełnialiśmy błędy. Małżeństwo z właściwą osobą może być czymś cudownym. Uwierz mi, ja to wiem.

Słowa ojca poruszyły Caroline do żywego. Chciała odrzucić tę radę, wmawiała sobie, że to tylko opiekuńczy tatuś, że ona nie da schwytać się w pułapki tradycjonalizmu. Była zadowolona właśnie z takiego życia, jakie prowadziła, i nie zamierzała niczego zmieniać.

A jednak im bardziej sama siebie usiłowała o tym przekonać, tym bardziej czuła się nieszczęśliwa. Przecież wszystkie te argumenty brzmiały fałszywie, nawet dla niej samej. Nie pozostawało nic innego, jak tylko uczciwie przeanalizować swoje uczucia.

Czy naprawdę była szczęśliwa?

Mieszkała z Jackiem od sześciu lat, z pozoru stanowili idealną parę. Bóg świadkiem, że kochała go z całego serca. Łączyło ich pokrewieństwo dusz.

Lecz nie można już dłużej ignorować oczywistej prawdy: ona, Caroline Smithson, w głębi serca czuje jakieś niespełnienie. Czegoś jej brakuje. Czegoś bardzo ważnego. Czy to możliwe, że dręcząca ją nieokreślona potrzeba dotyczy czegoś tak prozaicznego, jak posiadanie męża i trwałej rodziny?

Ta myśl ją przeraziła. Chciała się od niej uwolnić, lecz nie potrafiła. Nie potrafiła zapomnieć uczucia, które ogarnęło ją, gdy trzymała dziecko Stephanie. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Jaka była poruszona, kołysząc i tuląc do piersi tę małą istotkę. A przecież to nie ona jest matką Amy. Co czułaby zatem wobec własnego dziecka?

Wciąż powtarzała sobie stwierdzenie Stephanie, że wychowywanie dziecka to najważniejsza praca na świecie. Ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że jest to prawda. Straszna i zarazem ekscytująca. Jakże odmienne mogło być jej dzieciństwo, gdyby matka wyznawała taką zasadę!

Od wizyty Stephanie w Ambiance i lunchu z ojcem, Caroline miała wrażenie, że gdzie nie spojrzy, tam widzi pełno dzieci, kobiet w ciąży, albo małżeństw sprawiających wrażenie zakochanych i szczęśliwych.

Robiąc zakupy w sklepie wielobranżowym, zawsze ciągnęło ją do działu dziecięcego. Chciała choć chwilę popatrzeć na wzruszające małe ubranka i buciki.

Lekturę prasy zaczynała od zdjęć zaręczonych lub dopiero co poślubionych par. Pewnego razu jedna z tych fotografii i notatka o pięćdziesiątej rocznicy czyjegoś ślubu tak ją poruszyła, że musiała wyjść z pokoju, by Jack nie zorientował się, co się z nią dzieje. W łazience przeglądała się w lustrze i płakała, nie potrafiąc zrozumieć dlaczego.

Stopniowo jednak zaczynała pojmować bolesną prawdę. Choć i ona, i Jack byli przekonani, że są dla siebie stworzeni, nie miała poczucia bezpieczeństwa. Nie czuła, że ich związek to coś stałego.

Ilekcio zamykała oczy, usiłowała wyobrazić sobie siebie i Jacka razem, żyjących tak jak teraz, za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat. Nie potrafiła i to ją przerażało.

Kochali się, lecz nie starczało im wiary w stałość tej miłości, nie potrafili przewyciężyć własnych uprzedzeń i nie byli w stanie złożyć, przed Bogiem i światem, uroczystej przysięgi małżeńskiej.

Caroline nie była naiwną romantyczką. Wiedziała doskonale, że to nie przysięga sprawia, że jakaś para jest razem, ale jednocześnie dręczył ją ten brak zaufania do ich miłości.

Nie mogła już dłużej zaprzeczać. Louise miała rację. Jej zegar biologiczny tykał głośno i nie sposób było to dalej ignorować. Pragnęła ślubu, rodziny i wszystkich tradycyjnych spraw z tym związanych. Problem polegał na tym, czy zdoła przekonać Jacka, by i on tego zapragnął.

Przez trzy dni dusiła to w sobie, aż w końcu zebrała się na odwagę i postanowiła przedstawić sprawę kochankowi.

Tego dnia pocily jej się dłonie, w żołądku tkwiła jakaś guła, lecz wchodząc do mieszkania, zdecydowana była wyłożyć karty na stół. Teraz, kiedy już zdała sobie sprawę ze wszystkiego, zrozumiała, jak nieubłagany jest upływ czasu, i zaczęła się nagle bardzo spieszyć.

- Cześć, wróciłam! - rzuciła od progu, nie mogąc opamiętać nerwowego drżenia głosu.

- Chodź tu.

Zamknęła na moment oczy, wzięła głęboki oddech i przeszła korytarzem do sypialni. W drzwiach stanęła jak wryta.

- Dokąd się wybierasz? - spytała.

Jack układał właśnie stos koszul w walizce leżącej na łóżku. Niesforny lok jak zwykle opadał mu na czoło. W rozluźnionym krawacie, z rozpiętym kołnierzykiem i podwiniętymi rękawami, wyglądał tak zabójczo męsko, że Caroline żywiej zabiło serce.

- Do Monachium. Mamy problem w terenie.

- Kiedy jedziesz?

Wyprostował się i spojrzał na zegarek.

- Samolot mam za dwie godziny.

- Za dwie godziny!?

- Wiem, przykro mi, kochanie. Nie znoszę opuszczać cię w takim pośpiechu, ale to bardzo ważne.

- Ale... ja muszę z tobą porozmawiać, Jack. To też jest ważne.

- *Okay*. Wal śmiało. Mogę mówić i pakować się jednocześnie. - Pochylił się i szybko pocałował ją w usta. Spoj-

rzał na nią tkliwie. - Ale streszczaj się, dobrze? Chciałbym, żebyśmy zdążyli odpowiednio się pożegnać. - Lubieżnym gestem wskazał na łóżko. Uśmiechnął się, pogłaskał ją po brodzie i podszedł do szafy, by wyciągnąć bieliznę z szuflady.

- Jack, z tym nie można się spieszyć. To poważna sprawa. Musimy usiąść i przedyskutować to spokojnie.

- Przykro mi, kochanie, ale ja nawet nie wiem, kiedy wrócę. Zawsze jednak możemy pogadać przez telefon.

- Nie, nie chcę tak. - Usiadła na krawędzi łóżka. Patrzyła z przerażeniem na kochanka grzebiącego w szafie. Nie chciała tego odkładać. Kiedy już podjęła decyzję, pilno jej było to z siebie wyrzucić. - Jak długo cię nie będzie? - spytała, kiedy wrócił z naręczem marynarek.

Rzucił je na łóżko i zaczął pakować do pokrowca, jak zwykle szybko i starannie.

- Około sześciu tygodni. Góra dwa miesiące.

- Dwa miesiące! Nigdy nie wyjeżdżałeś na tak długo, nawet przy większych kontraktach!

- To prawda, ale Melissa przekonała mnie, że nim rozwiążemy ten problem, nadejdzie czas na sfinalizowanie projektu, a ja muszę przy tym być. Nie ma sensu, żebym wracał na kilka dni, latał tam i z powrotem.

Caroline zacisnęła szczęki. Melissa. Powinna była się domyślić.

- Więc co cię gryzie, kochanie? Sprawiasz wrażenie spiętej.

Nie miała innego wyjścia - musiała mu powiedzieć. Nie

mogła przecież czekać z tym dwa miesiące. Nie zniosłaby takiej próby.

- Jack... Nie widzę innego sposobu, żeby ci to powiedzieć, jak tylko przejść od razu do rzeczy.

Spojrzał na nią z ukosa, pakując ostatnie marynarki.

- To mi wygląda naprawdę poważnie. Czy coś się stało?

- Nie. A zresztą... Mam nadzieję, że tak nie pomyślisz. Ja... - Odruchowo wyprostowała ramiona. - Chcę, żebyśmy się pobrali.

- Co takiego!?! - Nie byłby chyba bardziej zdziwiony, gdyby zaproponowała mu wspólny skok samobójczy z okna ich mieszkania na dziewiątym piętrze. - Nie mówisz chyba poważnie?

- Mówię. Całkiem poważnie.

- Do diaska, Caroline! Dlaczego? Przecież już parę lat temu ustaliliśmy, że żadne z nas nie chce popełnić tego błędu. Czemu teraz zmieniasz zdanie?

Mówił szorstkim tonem, był zirytowany. Supel w żołądku Caroline zacisnął się jeszcze mocniej.

- Z paru powodów - zaczęła, nie potrafiąc opanować drżenia głosu. - Po pierwsze: kocham cię i chcę zostać twoją żoną. - Podbródek zaczął jej drżeć, musiała prze-rwać i zacisnąć wargi, aby się nie rozpłakać. Spojrzała w sufit i zaczęła mrugać. - Ja... Chcę być z tobą w prawdziwym związku.

- Przecież jesteś!

- Nie. - Pokręciła głową i rzuciła mu smutne spojrzenie. - Nie. To nie jest naprawdę.

- Caroline, ty...

- I jest jeszcze jeden powód - przerwała mu, nim zdążył wybuchnąć szyderczym śmiechem. Zmusiła się, żeby patrzeć prosto w oczy kochanka. - Chcę mieć dzieci.

- Dobry Boże!

Powiedział to cicho, jakby uderzył go nagły podmuch wiatru i zabrakło mu tchu. Nadzieje Caroline tonęły jak kamień wrzucony do stawu.

Odwrócił się od niej, przeczesał palcami włosy. Caroline zdawało się, że słyszy, jak Jack klnie pod nosem. Ubodło ją to. Nagle znów stanął z nią twarzą w twarz.

- To nie ma żadnego sensu - powiedział. - Oboje wiemy, że małżeństwo jest czymś bez znaczenia. Rozmawialiśmy o tym pewnie ze sto razy. Na Boga, Caro, rośliśmy, musząc znosić gromadę przybranych rodziców, nieustanne kłótnie i walki pomiędzy nimi. Oczywiście, jeśli byli akurat na miejscu. Do diabła, częściej widywałem moją niańkę niż rodziców! Potem, kiedy byłem już dostatecznie duży, posłali mnie do szkoły z internatem i mieli z głowy. Twoje dzieciństwo nie było wcale lepsze. Rzeczywiście chcesz podjąć ryzyko i narażać dziecko na takie rzeczy? A jeśli już to zrobimy, co właściwie nam z tego przyjdzie? Kilka słów na papierze, za którego unieważnienie adwokaci żądają fortuny. Rezultat jest taki, że dorośli toczą boje, dzieci cierpią, a prawnicy się bogacą. Nie, dziękuję - postoję.

Te słowa zaboląły Caroline niczym policzek. W jej oczach pojawiły się łzy, lecz zadarła głowę, nie pozwoliła im popłynąć.

- Nie zawsze tak musi być - odparła. - Wiele małżeństw nie rozwodzi się, wychowuje dzieci. Dzieci dla większości rodziców są szczęściem, którego nie wyrzekliby się za żadne skarby świata. Ale ty najwyraźniej uważasz, że pewnego dnia się rozstaniemy... - Łamał się jej głos, podbródek drżał, lecz zmusiła się, żeby ciągnąć dalej. - Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Głupio mi. Moja wina.

- Do diabła, nigdy o czymś takim nie pomyślałem! Jeśli to tylko będzie zależało ode mnie, to zawsze będziemy razem. Ale każdy związek niesie ze sobą ryzyko rozstania. W naszym przypadku to wyjątkowo mało prawdopodobne, lecz mimo to nie chcę wystawiać dziecka na choćby minimalne ryzyko. Ani teraz, ani nigdy. Myślę, że to rozumiesz.

Odwrócił się, trząskając szufladami, upychał byle jak ich zawartość w torbach.

- Rozumiem - powiedziała Caroline ze ściśniętym gardłem. Stała jak wmurowana, przyglądała się kochankowi miotającemu się po pokoju, Jack miał kamienną twarz; widziała go jak przez mgłę z powodu łez, które wciąż napływały jej do oczu. - Więc nawet nie chcesz o tym porozmawiać? - spytała zboląłym głosem.

- Nie. Zawarliśmy umowę i pozostaniemy przy niej.

Caroline skrzywiła się. Wiedziała, że podważyła właśnie niezmiennie, niemal święte reguły, rządzące od lat ich związkiem, ale nie mogła nic na to poradzić. Chciała tego. Potrzebowała.

- Jack, to było sześć lat temu. Coś się zmieniło. Ja się zmieniłam.

- Ale ja nie.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Caroline jęknęła. Ostatnią rzeczą, której sobie teraz życzyła, było to, żeby im ktoś przeszkadzał.

- To pewnie Melissa. - Jack zatrzasnął walizki i spojrzał na zegarek. - Pół godziny za wcześnie.

- Za wcześnie na co? Po co ona w ogóle tu przyszła? Podrzucę cię na lotnisko, zawsze to robię.

- Nie trzeba. Weźmiemy na spółkę taksówkę.

- Chcesz powiedzieć, że ona jedzie z tobą do Niemiec? - Przypatrywała się kochankowi z niedowierzaniem, wzbierała w niej furia.

- Caroline, nie zaczynaj - ostrzegł. - Nie mogę wszystkiego podporządkowywać twojej nieuzasadnionej podejrzliwości.

Rzeczywiście. Mogła sobie oszczędzić tej gadaniny. Po ostatniej kłótni o Melissę poprzysięgła, że podejrzewania zachowa dla siebie. Nie potrafiła przekonać Jacka, że nie jest zazdrosna, tylko po prostu nie ufa Melissie. A jednak tego było już za wiele.

- Nigdy wcześniej nie wyjeżdżała z tobą. Wydawało mi się, że jej praca polega na pilnowaniu, żeby w biurze wszystko szło jak należy właśnie wtedy, kiedy ciebie tam nie ma.

- Zazwyczaj tak jest. Teraz jednak wyjeżdżam na dłużej i Melissa będzie mi bardzo pomocna.

- Założę się, że będzie. Niech zgadnę, to był jej pomysł, nieprawdaż?

- Tak, ale...

- Na Boga, Jack! Czy ty nie widzisz, jak ta kobieta na ciebie patrzy?

- Caroline, przestań! - Złapał ją za ramiona i potrząsnął. - Jesteś zmartwiona i rozdrażniona. Kocham cię. Jedyne ciębie. Melissa jest moją asystentką, kompetentną profesjonalistką, i do diabła, szczęściarz ze mnie, że pracuję z taką osobą. Pomiedzy nami nic nie ma.

- Jeszcze nie. Ale coś się zacznie, nim wrócicie z Niemiec, bo ona nie zrezygnuje.

- Myślałem, że mi ufasz. - Twarz mu stężała, był na granicy utraty cierpliwości.

- Tobie wierzę, ale jej nie.

- Z tobą nie ma sensu rozmawiać. - Porwał walizki i wściekły wyszedł do przedpokoju. Dzwonek u drzwi odezwał się ponownie.

Caroline szła za nim krok w krok niczym rozjuszony terrier.

- Nie wierzę ci. Jesteś na mnie wściekły, bo chcę wyjść za ciebie, mieć dziecko. Czy mam się jednak cieszyć, że wyjeżdżasz na dwa miesiące z inną kobietą?

- Melissa nie jest żadną inną kobietą, tylko moją asystentką. To jest podróż służbowa, a nie sekretna schadzka.

- Ha! - prychnęła Caroline i wzięła się pod boki. - Ta baba to prawdziwy rekin w skórze kobiety. Na Boga, czemu mężczyźni są tacy ślepi?

- Wystarczy już tego na dziś, Caroline. Mam nadzieję, że ochłoniesz, zanim wrócę, i porozmawiamy jak dwoje przytomnych dorosłych ludzi.

Nim zdążyła coś powiedzieć, szarpnięciem otworzył drzwi.

Na twarzy Melissy, jak zawsze starannie umalowanej, za gościło zdziwienie. Każdy jej blond włos był na swoim miejscu; w obcisłym kostiumie, podkreślającym świetną, szczupłą sylwetkę, wyglądała bardzo szykownie - wizyty na siłowni cztery razy w tygodniu nie poszły wiać na marne.

Caroline zawsze widywała ją tak elegancką. Przypuszczała, że sama, po męczącym dniu spędzonym na użeraniu się z nieprzyjemnymi klientami i głupimi dostawcami, musi wyglądać jak przepuszczona przez wyżymaczkę.

Melissa chciała coś powiedzieć, lecz Jack wsadził jedną z walizek pod pachę i chwycił dziewczynę za łokieć.

- Chodź, idziemy już! - zakomenderował.

- Ale Jack... Przyszłam wcześniej, bo musimy omówić parę rzeczy.

- Zrobimy to w samolocie.

- Tak, oczywiście, jak sobie życzysz. - Melissa przyglądała się z ciekawością Jackowi i jego kochance.

Caroline podeszła do otwartych drzwi. Czowała się jak wyciśnięta ścierka. Jack zatrzymał się nagle, cisnął walizki i zawrócił. Nie mówiąc słowa, wziął Caroline w objęcia i pocałował ją w usta. Była tak zaskoczona, że mogła jedynie gapić się na niego, kiedy wracał do swojej asystentki.

Melissa, oglądając się przez ramię, posłała jej triumfalny uśmiezek.

- Niech się pani nie martwi o Jacka, panno Smithson. Potrafię o niego zadbać.

- Jack, słyszysz mnie?

Trwało chwilę, nim Jack uświadomił sobie, że Melissa coś do niego mówi.

- Co takiego? - Niechętnie oderwał wzrok od nieba za oknem odrzutowca. - Przepraszam. Co mówiłaś?

- Coś nie w porządku? Od czasu, kiedy się spotkaliśmy, jesteś zupełnie nieobecny duchem. W taksówce wydusiłeś z siebie może ze dwa słowa.

Normalnie nie rozmawiał z nikim na temat życia prywatnego, ale bomba, którą uraczyła go Caroline, podziałała jak cios w żołądek. Wybuch zazdrości o Melissę też nie poprawił mu humoru. Wciąż był skołowany, a sympatia asystentki działała niczym balsam.

- Caro i ja posprzeczialiśmy się - wymamrotał. - Chce za mnie wyjść i mieć dziecko.

- Ach tak, rozumiem.

Nachmurzył się.

- Do diabła z tym! Nie zgadzam się! Od początku oboje byliśmy tego samego zdania, że nie chcemy dzieci ani ślubu. I Caro była całkiem szczęśliwa w takim układzie. A teraz nagle robi zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. To zupełnie do niej niepodobne.

- Rozumiem, że sprzeciwiłeś się tym pomysłom.

- Tak, do cholery!

- Wiesz, Jack, to nie jest takie niezwykle u kobiet w wieku Caroline. Tak przy okazji, ile ona ma lat? Trzydzieści sześć? Trzydzieści siedem?

- Skończyła trzydzieści dwa.

Melissa uniosła brew.

- Doprawdy? No cóż, myślałam, że jest dużo starsza. Pewnie uświadomiła sobie upływ czasu. Boi się, iż młodość odchodzi. Lata płyną, a ona...

- Nie zastanawiałem się nad tym - przerwał jej.

- To zupełnie normalne u kobiet w wieku Caroline. A swoją drogą, cieszę się, że nie dałeś się złapać w te małżeńskie sidła, wiesz?

Jack zachnął się. „Złapany w sidła”. To było zupełnie niestosowne określenie, jeśli chodziło o to, co łączyło go z Caroline. Ta kobieta była najlepszą częścią jego życia. Do diabła, nawet jeśli go zakuje w kajdany, to i tak nie będzie czuł się jak w pułapce.

Wymruczał jakąś wymijającą odpowiedź, zagłębił się w fotelu i powrócił do obserwacji nocnego nieba. Żałował, że wspomniał Melissie o kłótni. To dowód braku lojalności.

- Co to znaczy, że odchodzisz? - Louise poderwała się z miejsca, przemaszerowała przez studio i stanęła nad biurkiem Caroline. Z jej twarzy wyczytać można było wściekłość, niedowierzanie i zdumienie. - Kompletnie zgłupiałaś? Caro, dobry Boże, kiedy zachęcałam cię do małżeń-

stwa i do dziecka, miałam na myśli to, że mężem i ojcem będzie Jack. Myślałam, że go przekonasz. Nawet mi się nie śniło, że zaczniesz szukać innego faceta i że zostawisz Jacka. To wariactwo. Pasujecie do siebie idealnie.

- Wiem o tym. Ale skoro nawet nie chce rozmawiać o małżeństwie, nie mówiąc już o rodzinie, to jest to dość poważny problem, nie sądzisz?

- No cóż, zaatakowałaś go wprost. Niech ochłonie, daj mu szansę. Daj czas.

- Dałam mu. Dzwoniłam, kiedy tylko dotarł do Monachium, ale gdy chciałam o tym porozmawiać, wściekł się i po prostu nie chciał o niczym słyszeć.

- Poczekaj, ale to było... jakiś tydzień temu? - Caroline przytaknęła, a Louise oparła się dłońmi o blat biurka przyjaciółki. - Więc sama widzisz. Miał czas, żeby to przemyśleć. Jeśli teraz dasz mu do zrozumienia, jakie to dla ciebie ważne, to jestem pewna, że podejmie temat. Jack cię uwielbia, chce, żebyś była szczęśliwa.

- No właśnie, w tym sęk. Ja chcę dla niego tego samego. Nie mam zamiaru zmuszać go do czegoś, przed czym naprawdę się wzbrania.

Nawet jeśli Caroline udałoby się, a było to raczej mało prawdopodobne, nakłonić Jacka do małżeństwa i założenia rodziny, to biorąc pod uwagę, jak bardzo ostatnio popsuło się między nimi, i tak zgodziłby się na to jedynie pod jej presją. A tego nie chciała.

- Żartujesz? Widziałam Jacka z dziećmi. Byłby świetnym ojcem.

- Wiem, ale on tego nie chce. - Tępy ból zaczął pulsować w skroniach Caroline, lecz zacisnęła zęby i postanowiła go zignorować. - Cały problem bierze się stąd, że ja, lepiej niż ktokolwiek inny, rozumiem i szanuję jego racje. Tyle że nie mogę ich dłużej dzielić.

- Przyrzeknij mi przynajmniej, że przedyskutujecie to z Jackiem jeszcze raz, nim podejmiesz jakieś drastyczne kroki.

Caroline, zmagając się z uporczywym bólem, masowała skronie opuszkami palców. Nie chciała zostawiać Jacka; na samą myśl o tym czuła się tak, jakby ktoś wyrywał jej serce. Ale jednocześnie buntowała się przeciw temu, że jej potrzeby płynące z głębi duszy nie zostaną zaspokojone, że zacznie obwiniać o to partnera, może nawet znienawidzi go pewnego dnia.

Może lepiej rozstać się w przyjaźni, dopóki oboje są młodzi i mogą zacząć nowe życie z kimś innym.

Myśl o Jacku i jakiejś innej kobiecie była jak pchnięcie nożem, lecz Caroline stłumiła w sobie ból. Jeżeli naprawdę się rozstaną, wtedy będzie czas na cierpienie. Nie miała wielkiej nadziei, że Jack zmieni zdanie, lecz Louise miała rację - trzeba się o tym przekonać.

- W porządku, wygrałaś - odezwała się Caroline. - Spróbuję pogadać z nim jeszcze raz. Jest tak zajęty, że trudno go złapać w dzień, ale zadzwonię wieczorem. W Niemczech to będzie wczesny ranek, nie zdąży jeszcze wyjść z domu.

Melissa po raz ostatni spojrzała w lustro i uśmiechnęła się do siebie. Doskonale. Jedwabna różowa bluzka i obcisła spódnica - wyglądała seksownie, lecz nie było to zbyt wyzywające. Odchyliła trójkątny dekolt, rozpyliła perfumy pomiędzy piersiami, potem wypachniła się za uszami, spryskała nadgarstki i zagłębienia pod kolanami. Usatysfakcjonowana, przejechała palcami po krótkich, obciętych „na pazia” blond włosach, zabrała portfel i aktówkę. Wreszcie była gotowa do wyjścia z pokoju.

Skrzywiła się lekko, idąc korytarzem do pokoju Jacka. Gdyby nie był taki tępy, mogliby teraz wygodnie dzielić jeden apartament zamiast ganiać do siebie przez całą szerokość hotelu.

Rezygnując z pośrednictwa odpowiedniego wydziału ich firmy, Melissa osobiście zadbała o rezerwację, zaznaczając, że mają dostać sąsiadujące pokoje, bezpośrednio ze sobą połączone. Jednak już na miejscu Jack uparł się, że przy rezerwacji popełniono błąd i nalegał, by umieszczono ich na różnych piętrach. Stało w końcu na tym - nie było innego wolnego pokoju - że zamieszkali na przeciwległych końcach korytarza.

Musiała zapukać trzy razy, zanim jej otworzył.

- Melissa! - przeczesał palcami zmierzwione włosy i spojrzął na zegarek. - Co ty tu robisz tak wcześnie?

Był zaspany, lecz mimo to wyglądał niesamowicie. Na policzku miał odcisnięte ślady poduszki, na brodzie ciemny zarost. Karmazynowy jedwabny szlafrok, rozchełstany i niedbale przewiązany paskiem, odsłaniał wspaniałą mę-

ski tors, pokryty czarnymi włosami, i intrygujące znamię w górę na prawo od pępka. Miała ochotę dotknąć tego aksamitnego punktu. Uśmiechnęła się.

- Pomyślałam, że moglibyśmy zaoszczędzić czasu, za mówić śniadanie do pokoju i jedząc, wprowadzić te poprawki. - Nie czekając na zaproszenie, weszła do środka, prawie ocierając się o szefa; nie mógł nie poczuć jej perfum.

- O szóstej rano?

Spojrzała na niego niewinnie.

- Och, tak mi przykro! Ze mnie jest taki ranny ptaszek, czasem zapominam, że inni lubią sobie pospać. Może przyjdę później?

Jack zawahał się, podszedł do drzwi i zamknął je. Był bosy, po drodze poprawił pasek od szlafroka.

- Nie, w porządku, i tak nie mógłbym z powrotem zasnąć. Daj mi kilka minut, muszę wziąć prysznic i ogolić się. W międzyczasie możesz zamówić śniadanie.

- Jasne. Na co masz ochotę?

- Dwa jaja na miękko ze wszystkimi dodatkami - odkrzyknął z łazienki.

W chwilę później, gdy właśnie odkładała słuchawkę po rozmowie z obsługą hotelową, zadzwonił telefon.

Melissa spojrzała na aparat. O tej porze mogła to być tylko jedna osoba.

- Halo? - odezwała się celowo zachrypłym i rozspanym głosem.

Po drugiej stronie na moment zapadła cisza, wyraźnie wyczuwało się konsternację rozmówcy.

- Bardzo przepraszam, operator musiał połączyć mnie z niewłaściwym pokojem. Dzwoniłam do Jacka Rileya.

- Chwileczkę! Proszę nie odkładać słuchawki. To jest pokój Jacka Rileya.

Tym razem cisza trwała dłużej. Melissa uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Panno Smithson, czy to pani?

- Tak - padła odpowiedź.

- Przykro mi, Jack nie może teraz podejść do telefonu, bierze właśnie prysznic. - Melissa rzuciła okiem na drzwi łazienki, zza których słychać było szum wody. - Ale cieszę się, że pani zadzwoniła. Chciałam pani podziękować.

- Podziękować? Za co?

- Za to, że nakłania pani Jacka do małżeństwa i założenia rodziny. Właśnie takiej zachęty potrzebował, żeby wziąć nogi za pas. Czekał na to od miesięcy.

- Ach, tak? I co niby zamierza teraz zrobić?

- Cóż, zwróci się oczywiście do mnie. - Odczekała chwilę, żeby rozmówczyni mogła właściwie zrozumieć tę wiadomość, po czym dodała- - Jestem naprawdę bardzo zobowiązana. A przy okazji, to znamie nad pępkiem jest urocze, nie uważa pani?

Słuchawka po drugiej stronie z cichym trzaskiem została odłożona na widełki.

Rozdział 3

W następny weekend Louise, choć była temu przeciwna, uczestniczyła w przeprowadzce. Caroline, prócz rzeczy osobistych, zabrała ze sobą jedynie kilka sztuk zastawy, meble z sypialni dla gości i krzesło z salonu. Miała zamiar zwrócić zresztą to wszystko, gdy tylko nadejdą nowe sprzęty, które zamówiła. Wszystko leżało teraz zapakowane, zwałone na kupę - mieszkanie sprawiało wrażenie pustego i opuszczonego.

- To mnie przygnębia - gderała Louise, rozglądając się wokół. - Nie zmienisz zdania? Możemy to wszystko odwieźć z powrotem i Jack nawet się nie dowie.

- Nie. Postanowiłam już. Tak będzie najlepiej.

Louise westchnęła, nie próbowała się spierać. Za dobrze znała Caroline. Kiedy ta na coś się zdecydowała, to parła do przodu, nie oglądając się na nic.

Obie wiedziały, że to wytrwałość, determinacja i charakter Caroline umożliwiły im odniesienie sukcesu w firmie, którą założyły dziesięć lat temu, dysponując niewielkimi środkami. Z początku zdarzało się wiele razy, że Louise

chciała zrezygnować, poddać się. To, że przyjaźniły się tak długo, powodowało jednak, że Caroline potrafiła ją zmusić do przetrwania kolejnych kryzysów.

Rozstanie z Jackiem było jak do tej pory najcięższą próbą, przez jaką miała przejść. Ale było to konieczne-dla dobra obydwu stron.

Nie ma co owijać w bawełnę, doszli do takiego punktu, w którym ich drogi rozeszły się; mieli odmienne pragnienia i potrzeby. To bolało. Bardzo bolało! Jack związał się z inną, nie postawił sprawy jasno i uczciwie. Caroline zdawała sobie jednocześnie sprawę, że gniew nie pozwala na trzeźwy osąd. A Jack, odchodząc, bez wątpienia był wściekły. Między Bogiem a prawdą - miał ku temu powody. To przecież właśnie ona chciała renegotjować umowę, którą kiedyś zawarli.

Miała złamane serce, lecz jednocześnie nie chciała stać na drodze do szczęścia kochanka. I nie mogła sobie pozwolić na zrezygnowanie ze swojego szczęścia z powodu poglądów tego mężczyzny.

Caroline i Louise poświęciły następną godzinę na wynoszenie kartonów i sprzątanie. Tuż po północy poderwał je na równe nogi niespodziewany dzwonek telefonu.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła Louise, przyciskając rękę do serca. - Jeśli to Roger, powiedz mu, że już wyszłam.

- Słucham? - odezwała się Caroline.

- Cześć, kochanie!

- Cześć, Jack! - rzuciła oziębło Caroline, mocniej ścisnąwszy słuchawkę.

- Jack! - wyszeptała Louise. - Będziemy mieć niezłą zabawę!

- Dzięki Bogu, że wreszcie cię złapałem. Gdzie się podziewałaś? Dzwonię dzień w dzień do domu i do Ambience, ale nigdzie nie mogę cię zastać. A ty nie oddzwaniaasz. Nie dostałaś wiadomości, które zostawiałem Louise?

O tak, dostawała je, darła i wyrzucała wprost do śmieci.

- Przepraszam, byłam zajęta.

- Caro? Czy coś jest nie tak? Masz jakiś dziwny głos. Chyba nie martwisz się nadal tą małą kłótnią?

- To chyba nie ma większego znaczenia, prawda? - spytała zimno.

Mała kłótnia! Na tyle mała, że zmieniła jej życie. I Jacka. Tyle że on, jak widać, tego nie pojął.

- Oczywiście, że rozu...

- Jack, jestem zmęczona, naprawdę nie mam nastroju do rozmów. A tak przy okazji, wracasz zaraz do Melissy?

- Ach, dajże spokój, Caroline! Nie zaczynaj od nowa. - Mogła sobie wyobrazić, jak w tej chwili potrząsa głową i zgrzyta zębami. - Do diabła, nie po to dzwonię z Europy, żeby się kłócić!

- No to możemy się rozłączyć.

- *Okay*, zrobmy tak. Jak widzę, ciągle jesteś wściekła. W porządku. Zadzwoń, kiedy przestaniesz się dąsać.

Wyłączył się, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Odłożyła słuchawkę.

- Nie licz na to za bardzo - powiedziała do siebie.

- Jak Jack zdobył tak szybko ten numer? - spytała

Louise. Wyglądała na spłoszoną. - Co powiedział? Był wściekły?

- Nie ma tego numeru. Rozmowy do naszego mieszkania są automatycznie przełączane tutaj.

- Więc on jeszcze nie wie, że odeszłaś? - Louise wzniosła oczy do nieba, kiedy Caroline potakująco skinęła głową. - Kiedy, u diaska, zamierzasz poinformować go o tym?

- Wyjaśnię mu wszystko, jak tylko wróci. Teraz to nie ma sensu, jest w trakcie finalizowania bardzo ważnego projektu. Nie potrzeba mu więcej zmartwień. Zresztą jest z nim ta Melissa.

- Caro, jesteś absolutnie pewna, że on cię zdradził? Może był jakiś zupełnie niewinny, zawodowy powód, dla którego była u niego tego ranka?

- O szóstej rano? A on właśnie brał prysznic? Ach, daj spokój!

- No cóż... to mogło chodzić o... - Louise próbowała jeszcze bronić Jacka, lecz w jej głosie nie było wielkiego przekonania.

- Doprawdy? A co z tym znamieniem? Przypuszczam, że jest pewien zawodowy, lecz wcale nie niewinny powód, dla którego ona o tym wie.

- Jasne. Ale może... Ja tylko uważam, że bez żadnych skrupułów usiłujesz zakończyć związek trwający siedem lat. To nie fair.

- Wcale nie. Tak właśnie powinno być. Kiedy zeszlismy się z Jackiem, przyrzekliśmy sobie, że kiedy tylko

jedno z nas zechce się wycofać, z jakiegokolwiek powodu, zrobi to szybko, gładko, po przyjacielsku. Żadnego obwiniania się nawzajem, złości ani dyskusji. Kiedy wróci, wszystko będzie już załatwione, nieodwołalnie. Do tego czasu zorganizuję sobie życie jako samotna kobieta, a on zrozumie, że jest wolny i może dokonywać zmian, jakich tylko zechce. Żadnego bałaganu, zawieruchy uczuciowej, ciągnących się wzajemnych pretensji. Nie martw się, Jack bez szemrania zaakceptuje moją decyzję. Pewnie jeszcze będzie mi wdzięczny, zważywszy, że ma pod ręką Melisę. - Cóż, może to i prawda - westchnęła Louise.

Przystosowanie się do życia w samotności po siedmiu latach spędzonych z kimś tak bliskim nie było wcale łatwe. Wieść o ich rozstaniu szybko się rozniosła wśród przyjaciół i znajomych. Wszystkim, z wyjątkiem garstki osób, mówiła, że to wspólnie podjęta decyzja dwojga przyjaciół. Zaskoczenie było ogromne, uważano ich bowiem powszechnie za idealną parę.

Kilka niezamężnych przyjaciółek ofiarowało się wprowadzić ją ponownie w świat. Pewnego wieczoru poszła nawet w towarzystwie dwóch pań do baru dla samotnych, lecz nie wytrzymała tam nawet godziny. Nigdy jeszcze nie widziała naraz tylu ludzi, którzy pracowaliby tak ciężko, usiłując przekonać samych siebie, że świetnie się bawią. Atmosfera desperacji, sztuczna wesołość przygnębiały ją do tego stopnia, że nawet pod groźbą śmierci nie wyszłaby z żadnym z mężczyzn, którzy ją zagadywali.

Inna znów przyjaciółka objawiła swoją dobrą wolę, zapraszając Caroline na obiad, by mogła ona poznać niejakiego Harry'ego, jej kuzyna, księgowego. Okazał się nawet miły, lecz w jej oczach był życiową niedojdą - mając czterdzieści jeden lat, wciąż mieszkał z mamuszką.

Samotny mężczyzna z tego samego bloku zaprosił ją do kina, lecz Caroline coś w nim denerwowało. Był nazbyt chętny, zbyt przyjacielski, za bardzo się spieszył. Sprawiał wrażenie myśliwego, który tropi zwierzynę.

Chadzała na zebrania kościelne, do muzeów, na przyjęcia i degustacje win, pojechała na weekend dla samotnych narciarzy. Raz poszła nawet do pralni samoobsługowej, lecz potem jeszcze przez kilka tygodni wzdragała się na samo wspomnienie tego miejsca.

Nigdzie nie spotkała nikogo, kto choćby w przybliżeniu spełniał jej oczekiwania.

- Wiesz, na czym polega twój problem? - Louise zapytała Caro po kolejnym jej lamencie na temat samotności.

- Każdego spotkanego mężczyznę porównujesz z Jackiem.

Uświadom sobie, że znajdziesz niewielu podobnych do niego.

Caroline przekonała się, że jest to prawda. Może Jack nie był tak przystojny, jak model z okładki żurnala, lecz była w nim jakaś szorstka męskość, która powodowała, że oglądały się za nim wszystkie niemal kobiety. Był wrażliwy, inteligentny, otwarty, ciepły, rozważny i opanowany - chyba że został sprowokowany. Teraz rozgniewał się nie na żarty.

Louise miała rację. Trudno będzie innym mężczyznom dorównać Jackowi Rileyowi. Ale na pewno ktoś taki się w końcu znajdzie. Caroline nie mogła sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej.

A jednak, pięć tygodni po przeprowadzce, nie posunęła się ani na jotę w poszukiwaniach partnera, z którym mogłaby budować przyszłość. Było to przygnębiające. W desperacji zaczęła rozmyślać nad wizytą w banku spermy. Może dzięki temu urodzi upragnione dziecko? Skoro całe marzenie jest nierealne, to niech chociaż spełni się jego część.

Kilka zaufanych przyjaciółek proponowało Caroline zorganizowanie „randki w ciemno”. Odmówiła, jeszcze nie była aż tak zdesperowana.

Przez cały ten czas nie otrzymała żadnej wiadomości od Jacka, lecz nie była tym zdziwiona. Mężczyzna potrafi być uparty jak osioł. Jack był przecież pewien, że Caroline zmieni zdanie i pierwsza zadzwoni do niego. Nie miała wątpliwości, że gdyby doszło do rozmowy między nimi, to właśnie ona zostałaby oskarżona o zerwanie ich związku. Myślała o tym z żalem.

Kontrolowanie złości pomagało przezwyciężyć ból po stracie Jacka, lecz nie uwalniało od niego całkowicie. Straszliwie jej go brakowało. Tęskniła, wyobrażając sobie jego twarz, niesforny kosmyk opadający na czoło, szczęki pokryte szorstkim zarostem pod koniec dnia. Przypominała sobie, jak przeczesywała palcami ciemne włosy, wspominała głęboki ton głosu. Wszystkiego było żal. Nawet nieła-

du, który panował w łazience pośród jego kosmetyków, używanych przezeń dziesiątki razy na dzień.

Ale przecież, dobry Boże, najbardziej cierpiała, nie mogąc się z nim kochać.

Kiedy tęsknota stawała się nie do zniesienia, przypominało jej się, dlaczego tak się stało. Mogła mieć Jacka albo rodzinę, ale nie obie rzeczy naraz. Serce bolało, lecz gdzieś w głębi duszy czuła, że dokonała właściwego wyboru. Nawet gdyby Melissa nie pojawiła się na horyzoncie, Caroline postąpiłaby tak samo.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zachwycała się Melissa. - Prawie skończyliśmy, trzymamy się harmonogramu, wszystko gra. Jeszcze tylko kilka dni prób i fabryka zacznie produkować, a wtedy można będzie przekazać ją Cyber-Tech.

- Mhm - bąknął Jack, wchodząc do hotelu. Minał hol i skierował się wprost ku recepcji, ledwie zauważając obecność Melissy u swego boku.

Odebrał od recepcjonisty plik wiadomości i przeglądał je, idąc do windy. Spochmurniał jeszcze bardziej, kiedy na żadnym z papierów nie zobaczył nazwiska Caroline.

Cholerny świat, ani słówka od pięciu tygodni! To do niej niepodobne, żeby tak długo się dąsała. Zmiał kartki i wtknął je do kieszeni spodni. Szlag by to trafił! Miał już tego dość.

- Co się stało, Jack? Nawet nie słyszałeś, co do ciebie mówiłam!

Rozejrzał się ze zdziwieniem.

- Melissa? Co ty tutaj robisz? Myślałem, że idziesz do siebie.

- Owszem, ale najpierw musimy ustalić plany na dzisiejszy wieczór. Pomyślałam sobie, że moglibyśmy uczcić zakończenie projektu jakąś miłą kolacją, potańczyć...

- Potańczyć? - uniół brwi i potrząsnął głową. - Nie sądzę.

- No cóż, wydaje mi się, że jesteś zmęczony. Więc może inna propozycja? Mamy trochę czasu, zanim testy zostaną przeprowadzone. Czemu nie mielibyśmy sobie zafundować jakiejś małej wycieczki? - Uśmiechając się zalotnie, przysunęła się do szefa i zaczęła gładzić go po ramieniu. - Moglibyśmy pojeździć trochę po Niemczech, tylko we dwoje, pooglądać pejzaże, zatrzymać się w jakimś romantycznym zamku. Co ty na to? Będzie świetnie, obiecuję.

Zesztywniał i odsunął się od niej.

- Przykro mi, nie mogę.

- Czemu nie? - Melissa przestała się przymilać i odsunęła się z nadąsaną miną.

- Bo takie rzeczy robię tylko z Caroline.

- Och, na Boga! Caroline, Caroline i jeszcze raz Caroline! Niedobrze mi się robi, kiedy słyszę to imię! Na świecie są jeszcze inne kobiety. Pragnę zwrócić na siebie twoją uwagę niemal od chwili, gdy mnie zatrudniłeś. Myślałam, że teraz, kiedy spędzimy trochę czasu razem, otworzą ci się wreszcie oczy, ale ty od pięciu tygodni jesteś tak zaabsorbowany

Caroline, że nie zauważasz nawet tego, co masz pod nosem!

Jack z wolna dochodził do siebie. Podparł się pod boki i obserwował asystentkę z krzywym uśmiechem.

- Caroline miała absolutną rację - odezwał się wreszcie. - Ty próbujesz mnie uwieść!

Buńczucznie potrząsnęła swoimi blond włosami i zadarła głowę do góry.

- A jeśli nawet? Co w tym złego? Ty i twoja bezcenna Caroline nie jesteście przecież małżeństwem. - Zmieniła nagle ton, oparła dłonie na jego piersi i spojrzała mu zalotnie w oczy. - Będzie nam razem cudownie, Jack, obiecuję - mruzczała niskim, ciepłym szeptem.

Usiłowała go objąć, lecz Jack chwycił ją za nadgarstki i odsunął od siebie.

- Dość tego! Idź i pakuj swoje rzeczy. Wracasz do Houston pierwszym możliwym samolotem. I od tej chwili nie należysz już do mojego zespołu.

- Co takiego? Nie możesz mnie zwolnić! Będę... zażalam cię o bezpodstawne wypowiedzenie pracy, tylko spróbuj to zrobić!

- Nie zamierzam cię zwalniać. - Jack obszedł dziewczynę i szeroko otworzył drzwi. - Zamierzam przenieść cię do innego działu. Natychmiast, jak tylko powrócisz do biura. A teraz idź już, proszę.

Melissa zawahała się przez chwilę, lecz zdążyła wyczytać z jego wzroku, że decyzja jest nieodwołalna. Jeszcze raz potrząsnęła włosami, prychnęła jak ropucha i rozeźlona

zebrała się do wyjścia. Była tak wściekła, że wydawało się, iż za chwilę eksploduje.

- Melisso, tak przy okazji - odezwał się Jack słodkim tonem. Dziewczyna idąca korytarzem zatrzymała się i ponuro spojrzała na niego przez ramię. - Na twoim miejscu byłbym ostrożny z oskarżeniami. Wiesz, w dzisiejszych czasach zarzut o seksualnym molestowaniu działa w obie strony.

Wyjaśnienie wszystkiego w projekcie dla Cyber-Tech i powrót do Houston zabrało Jackowi dwadzieścia cztery godziny. Właściwie powinien pozostać w Monachium do czasu uroczystego przecięcia wstęgi i oficjalnego przekazania obiektu, ale od tygodni dręczyło go przekonanie, że w domu coś jest nie w porządku. Scena z Melissą pogłębiła tylko ten niepokój.

Wylądował w Houston trochę przed szóstą, godzinę zajęło dopełnienie formalności, odbiór bagażu i jazda taksówką z lotniska. Gdy tylko podbiegł do drzwi frontowych, od razu wiedział, że jego obawy były uzasadnione. Nigdzie nie paliło się światło, a wokół panowała nienaturalna cisza.

Jack zapalił światło przy wejściu, potem w salonie.

- Caro? Jesteś tam?

Echo jego nawoływań odbijało się od ścian mieszkania, jakby drwiło sobie z niego. Gdzie ona jest? Może wyszła gdzieś z przyjaciółmi albo z klientem? A może pracuje do późna w Ambience?

Rozejrzył się po salonie i zmarszczył brwi, coś tu było nie tak. Nie tracił jednak czasu, aby dokładnie zbadać, o co właściwie chodzi. Może poszła spać po powrocie z pracy. Szedł korytarzem, zapalał światła i nawoływał:

- Caroline? Caroline, gdzie jesteś?

Wszedł do sypialni i stanął jak wryty. Serce zaczęło mu łomotać. Spojrzył na blat wiśniowej komódki, gdzie Caroline trzymała szkatułkę z biżuterią i kolekcję perfum, cudownych kobiecych rozpylaczy z rżniętego kryształu.

Nie stało tam teraz nic.

Przeszedł się po pokoju, rozejrzył. Nie było ani jednej rzeczy należącej do Caroline.

Zacisnął pięści i podszedł do ich wspólnej ogromnej szafy, szarpnął podwójne drzwi. Serce skoczyło mu tak, jakby chciało wyrwać się z piersi.

Część należąca do Caroline była pusta. Zostały jedynie wieszaki i podarta torba od odkurzacza.

Odeszła.

Caroline zostawiła go.

Ogarnęła go złość, potem furia.

- Do diabła z nią - wymamrotał. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Dwadzieścia minut później wtargnął do Ambience z takim impetem, że drzwi walnęły o ścianę. Louise omal nie spadła z krzesła.

- Jack!

- No dobra, gdzie ona jest? - zorientował się od razu, że biuro Caroline jest puste.

- Ja... ona... to znaczy...
- Wykrztuś to wreszcie z siebie, Louise!
- Ona pojechała wcześniej do domu... przygotować się na ran... no, na spotkanie.

- A gdzież to teraz jest ten „dom” Caroline?
- Cóż, nie wiem, czy powinnam...
- Dawaj mi ten adres, Louise, i to natychmiast! - uderzył pięścią w biurko. Dziewczyna aż podskoczyła i szybko zapisała to, o co prosił, na skrawku papieru. Jack wyrwał jej karteczkę z dłoni i wymaszerował bez słowa.

Louise patrzyła za nim oniemiała. Wzdrygnęła się, kiedy trzasnęły drzwi.

- Caro, jak ty sobie z tym teraz poradzisz? - szepnęła do siebie i z ciężkim westchnieniem pokręciła głową.

RRS

Rozdział 4

Randka w ciemno.

Caroline jęknęła. Boże, do czego to doszło! Nie mogła uwierzyć, że rzeczywiście zgodziła się na to spotkanie. Posunięcie prawdziwie desperackie.

Zakładała kolczyki, krzywiąc się do swojego odbicia w lustrze.

- To będzie obrzydliwe, zdajesz sobie z tego sprawę? - mówiła. - Przez sześć tygodni nie spotkałaś ani jednego faceta, na którego miałabyś ochotę spojrzeć po raz drugi. Co cię podkusiło, żeby zgodzić się na załatwianie kandydata przez przyjaciółki?

Była umówiona z Lesterem Killibrew. Wzniosła oczy ku niebu. Już samo nazwisko brzmiało idiotycznie i zapowiadało nie lada kłopoty. Trudno, najwyżej wynudzi się na śmierć albo naje wstydu.

Zadzwoił dzwonek przy drzwiach. Caroline zerwała się jak oparzona. Zrobiło jej się niedobrze.

Zaciskając zęby, podeszła do wejścia. Nim dotarła do drzwi, dzwonek odezwał się ponownie.

Świetnie. Wyjątkowo niecierpliwy typ.

Nim sięgnęła do klamki, wzięła głęboki oddech i zmusiła się do uśmiechu. Otworzyła drzwi i omal nie padła z wrażenia.

- Jack!

- Tak, to ja, Jack. - Nim zdążyła go powstrzymać, był już w środku. Zatrzasnął drzwi z takim impetem, że uderzyły o futrynę z hukiem rewolwerowego wystrzału.

Caroline podskoczyła i cofnęła się ze strachu. Jack postępował za nią z głową pochyloną jak u byka szykującego się do natarcia.

- Cóż, kochanie. Może zechcesz mi wyjaśnić, o co tu, do cholery, chodzi?

Tak rozsierzonego jeszcze go nie widziała. Wściekłość sprawiła, że pociemniała mu twarz, mięśnie drgały wokół zaciśniętych szczęk. Niski głos przywodził na myśl złowieszcze dudnienie poprzedzające trzęsienie ziemi. Widać było, że gotów jest użyć siły.

Caroline zaczęła się bać. Jednocześnie było jej tak przykro, tak głupio, tak bardzo wstyd, iż myślała, że wyskoczy ze skóry.

Pomimo to radość wypełniła jej serce. Patrzyła na ukochane oblicze, ściągnięte gniewem - i miała ochotę okryć tę twarz pocałunkami. Palce chciały buszować w niesfornych kędziorach opadających na czoło. Podniecał ją zapach jego skóry, dusząca piżmowa woń. Czowała do niego pociąg fizyczny; było to tak samo nieuchronne, jak pływy wywołane przyciąganiem księżyca. Od chwili kiedy się poznali,

była pomiędzy nimi jakaś magnetyczna więź, której nie mógł zniszczyć ani czas, ani złość, ani nic innego.

Wszystko w niej dygotało. Musiała zacisnąć zęby, a pięści mocno przyciskać do ud - tylko w ten sposób mogła powstrzymać się przed padnięciem mu w ramiona.

Niezależnie jednak od tego, jak bardzo ucieszyła się na jego widok, nie pozwoli, żeby panoszył się w jej domu. I w jej życiu. Jack był zaborczym typem; Komenderowanie innymi leżało w jego naturze. Jediną obroną przed tym było stawienie mu czoła.

Caroline zadarła głowę.

- Myślałam, że wszystko jest jasne.

- Jasne jest jedynie to, że ja wyjechałem na kilka tygodni, a ty w tym czasie spakowałaś się i wyprowadziłaś z naszego mieszkania. Żadnych wyjaśnień, rozmów, nic. Nie miałaś nawet tyle przyzwoitości, aby mnie poinformować, że odchodzisz ode mnie, nie mówiąc już o wytłumaczeniu, dlaczego to robisz!

- Powiedziałam ci dlaczego. Chcę wyjść za mąż, mieć dziecko. Mówiłeś jasno, co o tym myślisz, ilekroć usiłowałam o tym porozmawiać. Wiem, że nie mogę tego od ciebie oczekiwać.

- To o to chodzi? O ten nonsens z macierzyństwem i wiecznym szczęściem? To dlatego mnie rzuciłaś? Nie mogę uwierzyć! Straciłaś rozum? Odchodzisz z domu, przeprowadzasz się na przedmieście, niszczysz wszystko, co było pomiędzy nami, dla głupiego małżeństwa?

Caroline podniosła głowę jeszcze wyżej.

- To żaden nonsens. Poza tym jest jeszcze Melissa. Na twarzy Jacka pojawiło się zdumienie.

- Słuchaj, jeśli o to chodzi...

Rozległ się dzwonek i przerwał mu w pół zdania. Jack obrócił się ku drzwiom.

- Co jest, do cholery! Kogo diabli niosą?

- No cóż... przypuszczam, że to mój amant.

- Kto taki? - Nie czekając na odpowiedź, podbiegł do drzwi i otworzył je szarpnięciem. - Spadaj stąd! - warknął i zatrzaskał przybyszowi drzwi przed nosem.

Caroline dojrzała tylko bukiet kwiatów i przerażoną twarz Lestera Killibrew.

- Jack, co ty najlepszego wyprawiasz?

- Wyświadczam mu tylko przysługę.

- On mógł być moim...

Dzwonek odezwał się ponownie, mina Jacka zrobiła się jeszcze bardziej ponura.

- Ja otworzę. Jack, nie ośmielisz się chyba...

Nie zwracając na nią uwagi, otworzył drzwi i stanął na przeciwko nieznanemu mężczyźnie.

- Słuchaj no ty! Albo sam się wyniesiesz, albo tak ci przyłożę, że długo jeszcze będziesz pamiętać to spotkanie! Rozumiesz?

- Chwileczkę, kim pan jest?

- Kochankiem Caroline. Nie mam zwyczaju dzielić się moją własnością. Wynocha!

Lester Killibrew był przerażony i zakłopotany. Ponad ramieniem Jacka pochwycił wzrok Caroline i zapytał:

- Panna Smithson?

Twarz Caroline oblał rumieniec. Przestraszona, spojrzała na niego ze smutkiem.

- Jest mi niezmiernie przykro, panie Killibrew. Naprawdę. Ale może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli pan zrobi to, co on mówi.

- Z panią wszystko w porządku? - dopytywał się. Było to urocze, zważywszy, że był od Jacka sporo niższy i przynajmniej dwadzieścia kilo lżejszy.

- Tak, wszystko w porządku, niech się pan nie martwi. Lester nie wyglądał na przekonanego i wciąż przestępował z nogi na nogę. Chciał wręczyć Caroline bukiet, lecz Jack nadal blokował przejście.

- Zjeżdżaj, brachu! I zabierz ze sobą ten wiecheć!

- Jack! - doskoczyła ku niemu, gdy Jack po raz drugi zatrzasnął drzwi przed nosem niedoszłego amanta – to było najbardziej niestosowne, najbardziej grubiańskie zachowanie, jakie do tej pory widziałam w twoim wykonaniu!

Jack, ignorując zupełnie reprimendę, sam przystąpił do ataku.

- To tym się zajmowałaś, kiedy mnie nie było? Tęskniłem za tobą, wypruwałem sobie flaki, pracując tak, żeby wcześniej skończyć, prędzej wrócić i poukładać nasze sprawy, a ty się puszczasz z tym szkieletem w garniturze. Z iloma byłaś przez ostatnie sześć tygodni?

- To nie twój inter....

- No powiedz tylko, ilu ich było? - rozdarł się tak, że

Caroline aż podskoczyła. Złożyła razem ręce, żeby opłonić ich drżenie, zadarła głowę.

- Prawdę powiedziawszy, Lester był pierwszym.

- I, do jasnej cholery, ostatnim!

- Jack, posłuchaj... - zaczęła, lecz on wyminął ją i wściekły wkroczył do salonu.

Zatrzymał się na środku pokoju, przecesał dłonią zmierzwiłone włosy.

- Niech to szlag! Powinienem wiedzieć, że nie odczepisz się od tego pomysłu z małżeństwem. Kiedy coś przyjdzie ci do głowy, uczepiasz się tego jak rzep psiego ogona.

Odwrócił się w jej stronę, zaczął oskarżać.

- Caro, dlaczego w ten sposób? Czemu nie zaczęłaś, żeby ze mną porozmawiać? Jak mogłaś to załatwić za moimi plecami? Jak mogłaś mi to zrobić? Jak mogłaś nam to zrobić?

Caroline zagryzła dolną wargę, ogarnęło ją poczucie winy.

Ponieważ wiedziałam, że i tak mnie przegadasz - myślała zrozpaczona. Tak jak zawsze potrafisz mnie przekonać do wszystkiego, czego sam chcesz.

- Próbowałam z tobą rozmawiać, pamiętasz? - odezwała się drżącym głosem. - Ale nie chciałeś słuchać, powiedziałeś jasno, że nie zmienisz decyzji. Skoro i ja pozostaję przy swojej, nie widziałam powodu, żeby z tym zwlekać. Chciałam powiedzieć ci o tym zaraz po powrocie. Gdybyś zadzwonił i poinformował mnie, kiedy wracasz, odebrałabym cię z lotniska. Jak zawsze. Nie chciałam,

żebyś sam przyjechał do domu i zorientował się, że odeszłam.

- Wielkie dzięki! Czemu po prostu nie zadzwoniłaś do mnie do Niemiec i nie przekazałaś mi tych nowin? - Odchrząknął i rzucił jej pogardliwe spojrzenie. - Do diabła! Myślałem, że są prostsze sposoby załatwiania takich spraw.

Caroline załamała ręce.

- Jack, zastanawiałam się nad najprostszym wyjściem z tej sytuacji. Nad najszybszym i najmniej bolesnym dla nas obojga rozwiązaniem. Myślałam jednak, że masz dość kłopotów w Monachium.

Zamarł niczym drapieżnik, czyhający na oznakę słabości swojej ofiary.

- Więc powiadasz, że mimo twojego odejścia nadal się o mnie troszczysz? - Uśmiechnął się nieznacznie, ale z triumfem. - Caroline, ty wciąż mnie kochasz, właśnie tego dowiodłaś. Nie próbuj zaprzeczać.

- Ach, Jack, oczywiście, że nadal cię Kocham. - W jej głosie i spojrzeniu, którym go obdarzyła, znać było smutek. - Myślę, że zawsze będę cię kochała. To nie ma nic wspólnego z tym, że odeszłam.

Nie udało się go zbić z pantafelku, wyglądał nawet na uradowanego, spoglądał bowiem na Caroline z uwodzicielskim uśmiechem. Natychmiast zorientowała się, że przyznanie się do swoich uczuć było błędem. Pokazać Jackowi jakikolwiek słaby punkt, a natychmiast to wykorzysta. Zmieniła więc zaraz front, znów stała się uszczypliwa.

- Tak czy siak, nie wiem, o co tyle hałasu. Już na samym początku umówiliśmy się, że jeżeli któreś z nas zechce odejść, niezależnie z jakiego powodu, może to zrobić bez żadnych pytań i scen.

Słyszając to, zatrzymał się w miejscu.

- Cholera jasna! - ryknął. - Nie obchodzi mnie, co było sześć lat temu. Nie zamierzam się poddać bez walki. Na twoim miejscu nawet przez chwilę nie sądziłbym, że tak łatwo ustąpię.

- Biorąc pod uwagę twój romans z Melissą, nietrudno sobie to wyobrazić.

- O czym ty mówisz? Do diabła, nie miałem żadnego romansu z Melissą! - odparował. - W porządku, wyjaśnijmy sobie to do końca i raz na zawsze. Przyznaję, jestem ci winny przeprosiny. Miałaś rację. Ona rzeczywiście myślała tylko o łóżku. Kiedy się w końcu zorientowałem, pozbyłem się jej. Przeniosłem ją do biura w Los Angeles. Wyrzuciłbym ją na bruk, ale bałem się, że oskarży firmę o bezpodstawne zwolnienie. Przykro mi, że cię od razu nie posłuchałem. Zdenerwowało cię to, wiem, ale uwierz mi, kochanie, nie było czym się przejmować. Możemy o niej zapomnieć? Przestała istnieć w naszym życiu, nie jest już żadnym punktem odniesienia dla tej sytuacji.

- Jack, proszę, nie traktuj mnie jak idiotki. Zadzwoiłam kiedyś do ciebie o szóstej rano, odebrała Melissa, a ty byłeś pod prysznicem.

- Co takiego? Nawet mi nie powiedziała, że dzwoniłaś!

- Cóż, zapominając nawet o porze i okolicznościach, przekonała mnie, że zostaliście kochankami. Wiedziała nawet o znamieniu nad pępkiem.

- A to suka! Wredna, podstępna... - Zacisnął znów pięści. Zaraz jednak złagodniał i podszedł do Caroline. Chwytał ją za rękę, spojrzał w oczy. - Caroline, czy kiedykolwiek cię okłamałem? Odpowiedz! - nalegał, widząc jej wahanie.

- Nie - pokręciła głową.

- Widzisz więc. Teraz też nie kłamię. Wobec tego wbij sobie do głowy: nie mam i nigdy nie miałem żadnego romansu z Melissą. Ani z nikim innym. Kocham tylko ciebie. Jesteś jedyną kobietą, której pragnę. - Obserwowała uczciwą, ściągniętą cierpieniem twarz Jacka i czuła, że ustępują gniew, urazy, podejrzenia. Była to wielka ulga. - Wierzysz mi? - spytał na zakończenie.

Przytaknęła, lecz spojrzenie miała wciąż smutne.

- Tak, w końcu uwierzyłam, że ty sam wierzysz w to, co mówisz.

- Cóż to ma znaczyć, u diabła? - nadał się.

- Wydaje mi się po prostu, że nasze drogi się rozeszły. Ostatnio... Odnosiłam wrażenie, że nie kochasz mnie już tak bardzo, jak kiedyś.

- Co? To szaleństwo! Niech to szlag trafi! Uwielbiam cię kobieto! - przekonywał ją rykiem zupełnie nie pasującym do roli czułego kochanka.

- Jack, przez ostatni rok prawie cię nie było. A jeśli już byłeś, to praca tak cię pochłaniała, że mogłabym... nie

wiem, stepować nago na blacie twojego biurka, a ty nawet byś tego nie zauważył.

Na twarzy Jacka pojawiła się dziwna mina i Caroline nabrała podejrzeń, że oto odgrywa on jakiś scenariusz. Upewniła się ostatecznie, kiedy spojrzenia rzucone spode łba przemieniły się błyskawicznie w niepomierne zdziwienie.

- Uwierz mi, kochanie, zauważyłbym. Nim zrobiłabyś trzy kroki, byłabyś już w pozycji horyzontalnej.

Postanowiła zignorować tę uwagę.

- Rzecz polega na tym, że ty powiadasz, iż mnie kochasz, a ja sądzę, że po prostu wykorzystujesz. Stałam się twoim nawykiem, trochę wygodniejszym od innych. - Zadrżała lekko, odwróciła wzrok, by nie dojrzał bólu w jej oczach. - Stało się to dla mnie oczywiste, kiedy tak przeszedłeś do porządku dziennego nad moim odejściem. Ty chyba rzeczywiście odczuwasz ulgę.

- Rany boskie! Co ty gadasz! - Wyglądał jak rażony gromem. - Do diabła, Caroline, to jest zniewaga! Posłuchaj, wiem, że przez ostatni rok zachowywałem się trochę inaczej. Przyznaję, że byłem zajęty i pochłonięty tym niemieckim projektem, ale nie miałem najmniejszego pojęcia, że odbierzesz to jako utratę zainteresowania twoją osobą! To nie tak! Wcześniej też praca mnie wciągała i jakoś ci to nie przeszkadzało. Czemu więc teraz?

- Nie wiem. Po prostu tym razem było jakoś inaczej. Bez przerwy byłeś rozkojarzony. I ta Melissa kręcąca się ciągle w pobliżu. Spędzałeś z nią więcej czasu niż ze mną.

- Ach, rozumiem, poczułaś się zaniedbywana, może nawet zazdrosna. To o to naprawdę chodzi?

Caroline smutno potrząsnęła głową.

- Czy ty rzeczywiście nic nie rozumiesz? To są kwestie drugorzędne. Być może stały się bodźcem do odejścia, ale ostatecznie i tak podjęłabym taką samą decyzję. Jack, potrzebuję łóżeczka z białą siatką, karmienia o drugiej nad ranem, pomazanej kredkami lodówki... Wiem, że tobie to nie odpowiada, i nie oczekuję od ciebie zrozumienia, lecz ja doszłam do takiego momentu, że rzeczywiście tego potrzebuję.

- Nie, ja to rozumiem. To problem biologii, zakradająca się chyłkiem potrzeba macierzyństwa. Matka Natura tak to zaprogramowała, że tkwi to w każdej kobiecie. Ale kochanie, te pragnienia miną. To chwilowe, przekonasz się, wspólnie temu zaradzimy. A jak już wszystko minie, będziesz zadowolona, że się nie poddałaś. Obiecuję.

- Ach, Jack - spojrzała na niego ze smutkiem - mylisz się całkowicie. To nie jest coś, co z czasem wygaśnie. To jest tak silne pragnienie, że nie mogę go zignorować. Wierz mi, próbowałam, ale nie dało rady. Pragnę prawdziwego związku, nie tylko na dobre, ale i na złe, pragnę małżeństwa. Do tego chcę mieć przynajmniej jedno dziecko - kogoś, kogo mogłabym karmić, pielęgnować, kochać i uczynić zeń przyzwoitego człowieka. Kogoś, kto stanowi część mnie. Chciałabym, żeby to dziecko było też częścią ciebie, ale skoro ty tego nie chcesz, muszę poszukać innego mężczyzny. I to już teraz, bo czas jest przeciwko mnie.

- Daj spokój, Caro, czy naprawdę dziecko jest dla ciebie ważniejsze niż my oboje?

- Nie bardziej, ale tak samo. Chciałam ciebie, małżeństwa i rodziny, lecz w końcu zrozumiałam, że muszę dokonać wyboru.

- Wybrałaś więc dziecko! - Jego gniew był niekłamany.

- Gdybym wybrała inaczej, zawsze bym żałowała tej decyzji. Mogłoby się to skończyć obwinianiem ciebie, nawet nienawiścią. A tego bym nie chciała.

- Nigdy by do tego nie doszło. Nie dopuściłbym - oświadczył z właściwą sobie arogancją. - Posłuchaj, wydaje mi się, że zatraciłaś wszelkie proporcje. Byłaś na mnie zirytowana i nieszczęśliwa i to zaciemniło twój osąd. Nie pozwolę ci zniszczyć tego, co było pomiędzy nami, z powodu nielogicznych i zupełnie irracjonalnych pomysłów sterowanych przez twoje hormony.

Ach, tak. Była więc nielogiczna i irracjonalna. Caroline uniosła głowę.

- Obawiam się, że nie masz wyboru. Zerwałam z tobą i to ostatecznie. Rozstaliśmy się.

- Czyżby? Może zatem przetestujemy to?

Nie spodobał jej się ten ton głosu lub może raczej drażniący błysk w oku.

- Co chcesz przez to powie...? - Szeroko otwartymi oczami patrzyła, jak kochanek zdejmuje płaszcz i ciska go na sofę. - Co ty robisz, Jack?

Bez słowa, nie odrywając od niej wzroku, zdjął krawat i posłał w ślad za płaszczem, po czym zabrał się za rozpina-

nie guzików koszuli. Ruszył powoli w jej kierunku. Przestraszona Caroline cofnęła się.

- Jack, trzymaj się ode mnie z daleka! Rzucił jej diaboliczne spojrzenie.

- Niedoczekanie twoje.

Serce Caroline waliło jak oszalałe. Znała takie sytuacje. Powtarzały się zawsze po jego powrotach z podróży. Jack miał duże potrzeby seksualne, lecz był także wierny. Po okresie dłuższej abstynencji patrzył na kochankę jak wygłodniały wilk i gdy tylko stanął w drzwiach, od razu ciągnął ją do łóżka.

Zrobiła jeszcze trzy kroki do tyłu.

- Jack, przestań natychmiast!

Gardłowy pomruk sprawił, że ciarki przeszły jej po plecach. Polował na nią jak wielki lśniący kocur - zdobycz nie mogła ująć jego miękko stąpającym łapom. Caroline wiedziała, że wystarczy jeden dotyk, a wszystko przepadnie. Jack jednym pocałunkiem, ba, nawet spojrzeniem, mógł przemienić ją w trzęsącą się galaretę. Duma nakazywała jej pozostać przy swoim zdaniu, bronić się, lecz nie miała szans, by uciszyć zmysły.

Schroniła się za sofą, Jack podążył za nią.

- Jack, możesz wysłuchać rozsądnych argumentów?

- Dopiero wtedy, kiedy ty będziesz rozsądna.

Potknęła się o taboret i omal nie upadła, odzyskała jednak równowagę i schroniła się za fotelem.

Jack odstawił taboret na bok i nadal nieubłaganie zbliżał się do niej z błyskiem myśliwego w oczach.

- Jack, to głupota.

- Cała ta cholerna sytuacja jest głupotą. I dlatego zamierzam położyć temu kres.

- Słuchaj, Jack, ostrzegam cię... - Chwyliła mocno za oparcie fotela, zastanawiając się, z której strony zaatakuje, gotowa rzucić się w przeciwną. Nie spodziewała się, że Jack po prostu chwyci za jedną z poręczy i odepchnie mebel na bok z taką łatwością, jakby to był taboret.

Pozbawiona schronienia, z piskiem rzuciła się do ucieczki, lecz było już za późno. Jack złapał ją za nadgarstek i obrócił tak, że bezwładnie wpadła mu w ramiona. Dla zasady oparła dłonie o szeroką klatkę piersiową, usiłowała się uwolnić, lecz w głębi duszy wiedziała, że to bezcelowe. Czowała się już tak wspaniale w jego objęciach, a przecież nawet jej jeszcze nie pocałował.

Owiał ją zniewalający zapach, mocna, idąca do głowy męska woń, która sprawiała, że coś zaczynało drżeć w głębi jej ciała. Patrzyła w te żywe niebieskie oczy, patrzące na nią z takim pożądaniem, i serce się jej krajało. Nie widziała go przez sześć tygodni, nie dotykała go i - o Boże! - jakże za nim tęskniła.

Wtem przypomniała sobie, że bez niego będzie jej lepiej.

Mocniej napała na jego pierś.

- Jack, to niczego nie załatwi. Puść mnie.

- Nie. Za nic. - Patrzył na jej twarz wzrokiem ciepłym, wygłodniałym, oczami posiadacza. - Ty i ja jesteśmy dla siebie stworzeni, wiesz o tym, Caro. Kocham cię teraz bardziej niż kiedykolwiek i będę kochał aż do śmierci. - Zbli-

żył twarz do Caroline. - Nie jesteś żadnym nawykiem w moim życiu. Jesteś jak nałóg. Taki, bez którego nie można normalnie funkcjonować.

Caroline jęknęła, częściowo z rozkoszy, częściowo z rozpacz. Jack zamknął jej usta pocałunkiem.

Przeszył ją dreszcz aż do szpiku kości. To był pocałunek z szeroko otwartymi ustami, wilgotny, gorący i zachłanny, pełen tłumionych pasji. Caroline mogłaby wznieść się do słońca. Z cichym westchnieniem i rezygnacją rozchyliła porozpinaną koszulę i zawisała na szyi kochanka. Roztapiała się każda komórka jej ciała.

Jack tymczasem wydał cichy dźwięk, będący oznaką satysfakcji, i przytulił ją jeszcze mocniej. Ich usta nadal zachłannie syciły się sobą. Osunęli się na podłogę.

Caroline czuła pod plecami delikatne włosie orientalnego dywanu. Nie myślała teraz, że to idiotyzm kochać się na podłodze, kiedy łóżko było zaledwie o krok. Przestała stawiać opór, była tak samo szalona i tak samo spragniona, jak Jack. Uplłynęło zbyt wiele czasu, a ona tak bardzo za nim tęskniła.

- Kochanie, tęskniłem za tobą - wymruczał Jack jakby w odpowiedzi na myśli Caroline. - Ciągle mi ciebie mało. I zawsze tak będzie.

- Wiem, wiem... - zgodziła się Caroline. Coś kołatało się jej po głowie. Coś ważnego, co powinna powiedzieć Jackowi, lecz nie była zdolna do myślenia, kiedy dotykał ją w ten sposób.

- Kocham cię, Caro, potrzebuję.

Otworzyła oczy i jęknęła, przypominając sobie o tej ważnej sprawie. Szarpnęła go za ramiona.

- Jack... Jack... nie możemy. Ja nie biorę pigułek.

Zesztywniał - wyczuła drżenie mięśni, gdy usiłował odzyskać kontrolę nad sobą. Uniósł się i spojrzał na nią płoną-
cym wzrokiem. Oddychał z trudem, nozdrza mu drgały. Przez chwilę myślała z nadzieją, że zrezygnuje, lecz on za-
miast tego rzucił jakieś przekleństwo.

- Musimy zaryzykować. Cholera, muszę cię mieć. Teraz, zaraz...,

- Ale Jack...

Mocniej przycisnął wargi do jej ust, ucinając protesty. Ca-
roline poddała się. Resztki silnej woli i zdrowego rozsądku
wyfrunęły przez okno.

Uwolniła Jacka od rozpiętej koszuli, pogłaskała plecy i
ramiona. Usiłowała sięgnąć rękami talii, lecz nie było to
proste. Jak szalona szukała klamry jego paska.

Jack przetoczył się na bok, leżeli teraz zwróceni twarzą
do siebie. Oddychał ciężko, gdy jej palce radziły sobie ze
sprzączką, guzikiem i suwakiem. Posunęła się dalej, ręce
wdały się pod bawełniane spodnie. Miała go. Jack jęknął,
rozsunął zamek z tyłu jej sukni, rozpiął biustonosz.

Płójącym wzrokiem wpatrywał się w kochankę, roz-
ciągniętą na wytwornym wschodnim dywanie. Szybko po-
zbył się butów i skarpetek, jednym ruchem uwolnił od spo-
ani i bielizny.

Potem z błogim westchnieniem ułożył się na niej. Był
ogromny, przeżył się, czuła dotknięcia nagiego, gorącego

ciała. I znów usta zwały się w namiętym pocałunku. Caroline krzyknęła i oplótła ramionami jego szyję. Choć było to niemożliwe, ich ciała pragnęły jeszcze większej bliskości, poszukiwały jej, potrzebowały. Dotykali się, całowali, pieścili aż do utraty świadomości.

- Kochanie, doprowadzasz mnie do szaleństwa! - Jack uniósł się odrobinę, by spojrzeć na jej twarz. - Powiedz, że mnie chcesz! Powiedz mi to!

- Tak. Tak. Chcę cię! Pospiesz się, Jack! - szeptała, tuląc go, wbijając paznokcie w jego naprężone ciało.

Natychmiast zareagował na to szaleńcze błaganie. Wszedł w nią głęboko i kochał ją dziko, namiętnie, z całej siły graniczącej z desperacją. Unosili się coraz wyżej, aż wreszcie stracili nad sobą panowanie.

- Jack! Ach, Jack!

Podniósł się na rękach i patrząc jej prosto w oczy, poprowadził Caroline na sam szczyt.

- Caro, mogłabyś z tego zrezygnować? - mamrotał. - Caro, mogłabyś? Powiedz, Caro...

- Nie, nie! Jack, proszę...

Jack uśmiechnął się szeroko i zaprowadził obydwój w krainę słodkiego zapomnienia.

Chwilę później, kiedy serca przestały im łomotać, a oddechy uspokoiły się, Jack uniósł się na łokciach, uwalniając kochankę od swego ciężaru. Ujął jej twarz w dłonie i bacznie się jej przyjrzał.

- Powiedziałaś, że wciąż mnie kochasz. Czy myślisz

tak naprawdę? - spytał, chcąc rozpaczliwie usłyszeć te słowa ponownie.

Uniosła ciężkie powieki. Wpatrywała się weń tak długo, że Jackowi znów zaczęło walić serce. W końcu wyciągnęła rękę i odgarnęła niesforny kosmyk z czoła, uśmiechając się smutno.

- Tak, Jack, naprawdę tak myślę - powiedziała spokojnie.

Objął ją ciasno. To potwierdzenie niezmiernie go ucieszyło, lecz otaczająca Caroline aura smutku i jakiejś tajemniczej rezygnacji sprawiła, że poczuł się nieswojo.

RS

Rozdział 5

- No, no, patrzcie, kogo tu mamy - odezwała się Louise.

Caroline podniosła głowę znad sterty sprawdzanych faktur i zdziwiła się, widząc Jacka, zmierzającego ku niej poprzez salę pokazów. Ubrany w ciemnoniebieską marynarkę, świeżą białą koszulę i niebiesko-karmazynowy krawat, wyglądał znakomicie.

- Cześć! Co tutaj robisz?

- Nie mam prawa wpaść i zobaczyć mojej ukochanej, skoro przyszła mi na to ochota? - Nim zdążyła odpowiedzieć, był już po drugiej stronie biurka. Ujął ją pod brodę i obdarzył długim, wystudiowanym pocałunkiem.

Dotknął wargami jej ust niebywale delikatnie, niczym smakosz degustujący wyjątkowo doskonałe danie. Jego wargi zaczęły skubać, ocierać się, napierać na jej buzię. Język subtelnie penetrował, muskał, drażnił. Ciepły wilgotny oddech na policzku sprawił, że serce Caroline zaczęło bić w przyspieszonym tempie.

Przez cały ten czas kurczowo trzymała się krawędzi

blatu, aż zbieleły jej kostki. Dotykał jej tylko tymi cudownymi, grzesznymi ustami, lecz nawet ten drobny kontakt rozniecał żar w jej ciele.

Męski zapach wody po goleniu mieszał się ze specyficzną wonią Jacka i kombinacja ta była obezwładniająca. Połączenie mięty i kawy, tak dobrze jej znane od lat. Jack miał słabość do tych aromatów.

Uniósł wreszcie głowę, w jego niebieskich oczach było samo ciepło. Te oczy i ten uśmiech już same w sobie mogły doprowadzić do utraty zmysłów.

- Myślałam, że zaraz eksplodujecie - gderła Louise.

- Już chciałam połączyć was zimną wodą.

Nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi.

Caroline osunęła się na krzesło słaba jak kocię. Uniósł ciężkie powieki, napotkała jego uwodzicielskie spojrzenie i uśmiechnęła się.

- To było nawet miłe. - Oblizła wargi i mrugnęła do Jacka. - Hmm, mięta...

Pocałował ją jeszcze w czubek nosa, uśmiechnął się i wyprostował.

- To jest to, co lubię - zamruczał. - Wygląd naprawdę zakochanej.

- Czy wy dwoje możecie łaskawie pamiętać, że to jest miejsce pracy? - odezwała się Louise.

Jack spojrział na nią i mrugnął do niej okiem.

- Nie martw się, za dwadzieścia minut mam spotkanie, zaraz znikam. Wpadłem tylko, żeby zobaczyć, czy Caroline ma dziś ochotę na kolację. Moglibyśmy wypróbować

ten nowy lokal w Westheimer. Słyszałem, że nieźle tam gotują i mają dobrą kapelę do tańca. Co ty na to, kochanie? - spytał, unosząc brwi.

- Brzmi cudownie, ale czy nie będzie ci przeszkadzało, jeśli to przełożymy? Po prostu dzisiaj się do tego nie nadaję. Możemy zamówić coś do domu.

- Ciągle jesteś taka przygnębiona?

- Nie. Jestem po prostu straszliwie zmęczona. Chcę wrócić do domu, wziąć długą gorącą kąpiel, zjeść może jakąś chińszczyznę, a potem spać przez dwanaście godzin.

Jack przyglądał się uważnie twarzy Caroline.

- Na pewno? Jesteś blada, w nienajlepszej formie od ponad tygodnia. Nie powinien zbadać cię lekarz? Możesz mieć anemię czy coś w tym rodzaju.

- Nonsens, nic mi nie jest. Po prostu zmęczenie. Potrzebuję jedynie odpoczynku.

Nie wyglądał na przekonanego, lecz przyjrzał się raz jeszcze jej twarzy i skinął głową.

- W porządku. Ale daję ci słowo honoru, że jeśli to nie przejdzie, osobiście zaprowadzę cię do doktora i wysłucham jego diagnozy, więc nie myśl sobie, że będziesz mogła mydlić mi oczy.

- W porządku, w porządku - zaczęła się śmiać - Jeśli upewnię się, że nie poczułam się lepiej po odpoczynku, zgodzę się na te warunki. Idź już na to spotkanie, bo się spóźnisz.

- Kupię coś do jedzenia po drodze. Do zobaczenia wieczorem, kochanie - pocałował ją.

- No proszę... Miesiąc miodowy wciąż trwa - skomentowała Louise, kiedy za Jackiem zamknęły się drzwi.

Caroline uśmiechnęła się, patrząc na kwiaty stojące na biurku. Wczoraj przysłał je Jack, ot tak, bez żadnej okazji, z bilecikiem, na którym napisał, że ją kocha.

- Tak. Na to wygląda - odparła.

- Powiem ci tylko jedno: kiedy pobyłaś chwilę sama, otworzyły ci się oczy i przekonałaś się, że ten facet nie jest wcale taki zły.

- Tyle że nie dlatego to zrobiłam.

- A kogo to obchodzi, skoro są takie rezultaty? Hm. Zastanawiam się, czy to by zadziałało w przypadku Rogera. - Przez jakiś czas Louise wydawała się pochłonięta roztrząsaniem tego problemu, lecz w końcu potrząsnęła głową. - Nic z tego. Gdybym zostawiła go samego z dziećmi na sześć tygodni, dom wyglądałby jak po przejściu huraganu.

- Czym ty się zajmujesz? - roześmiała się Caroline. - Roger szaleje za tobą i dobrze o tym wiesz. Założę się, że zdobywa się na mnóstwo romantycznych gestów.

Te słowa obliczone były głównie na podtrzymanie przyjaciółki na duchu. Caroline jakoś nie mogła sobie wyobrazić męża swojej współpracownicy, byłego zawodowego futbolisty, wysyłającego jej kwiaty, ot tak, bez powodu, albo przynoszącego rano kawę do łóżka czy zabierającego Louise na dansing do małego bistro. Roger był miłym facetem, ale romantyczne gesty i finezja nie były jego mocną stroną.

- Pewnie. Wyniesie śmieci, wykąpie dzieciaki, kiedy wracam do domu półżywa... - Louise zadumała się. - Wiesz, kiedy się o tym pomyśli, to wygląda to całkiem romantycznie... - W oczach błysnęły jej wesołe iskierki.

- Już wiem! Wrócę wieczorem do domu i uwiodę tego miśka.

Caroline zachichotała i wróciła do sprawdzania faktur, a przynajmniej próbowała się tym zająć. Ledwie się do tego zabrała, Louise stanęła przed nią i zaczęła się jej bacznie przyglądać.

- O co chodzi? Wybrudziłam się na twarzy, czy co? - spytała Caro, podnosząc głowę.

- Nie. Tak się tylko zastanawiam. Czy ty jesteś szczęśliwa?

Pytanie zaskoczyło ją. Z początku chciała zbyć przyjaciółkę, ale z kim innym mogła rozmawiać na ten temat, jeśli nie z Louise. Przecież to Louise wysłuchiwała jej narzekań, dzieliła radości, w potrzebie zawsze była pod ręką. Zasługiwała na prawdę.

Caroline zgarbiła się, uśmiechnęła niepewnie. Spojrzała smutno na Louise, potem jej wzrok powędrował gdzieś w dal.

- Myślę, że jestem tak szczęśliwa, jak tylko mogę być. W pewien sposób jestem bardzo szczęśliwa. - Spojrzała na bukiet w rogu biurka.

W ciągu sześciu tygodni, które minęły od powrotu Jacka z Niemiec, ich życie wróciło do dawnego stanu, tyle że teraz Jack, aby odzyskać zaufanie, robił wszystko, co w je-

go mocy, by zatuszować poprzednie zaniedbania i pokazać, jak bardzo się stara. Wciąż zaskakiwał Caroline kwiatami, drobnymi upominkami, troskliwymi gestami.

To było romantyczne: kolacje przy świecach na tarasie, uroczne niedzielne poranki spędzone na wspólnej lekturze, weekendy na jachcie. Kochali się teraz intensywniej niż kiedykolwiek. Gdyby nie cień jakiegoś smutku, który tkwił gdzieś w niej głęboko, byłaby naprawdę szczęśliwa.

- Jack zasypuje mnie prezentami i dowodami miłości, spędza ze mną tyle czasu, ile tylko może. Muszę przyznać, że uwielbiam to. Uwielbiam wspólne życie z nim, ale...

- Ale wciąż pragniesz dziecka i małżeństwa?

- Po prostu jestem zachłanna. Muszę się pogodzić z tym, że te akurat konfitury są nie dla mnie. Nie mogę porzucić Jacka, próbowałam, ale po prostu nie mogę, za bardzo go kocham.

- Oczywiście, że nie możesz go porzucić. Jesteście dla siebie stworzeni, każdy głupiec to widzi. Och, Cara... Przyśięgam, że z chęcią rozwalilibym ten zakuty łeb Jacka Rileya.

Stwierdzenie to wywołało umiarkowaną wesołość Caroline.

- Pozwoliłabym ci, gdybym uważała, że to coś pomoże. Usiłowałam z nim rozmawiać, lecz on nie ustępuje, w końcu dałam spokój.

- Potrafisz z tym żyć?

- Myślę, że nie mam wyboru.

- Hm - Louise zamyśliła się. - A co z tym twoim złym samopoczuciem?

- To nic takiego, nie zwracaj uwagi na Jacka, to panikarz. Po prostu czuję się ostatnio trochę zmęczona. To mi nie. Naprawdę nie ma się czym martwić.

- Wyglądasz na nieco wymizerowaną. - Louise przyjrzała się przyjaciółce zmrużonymi oczami. - Powiedz, chce ci się ciągle spać?

- Bez przerwy.

- Jesteś podenerwowana? Płaczesz bez powodu?

- Skąd wiesz?

- Twoje piersi stały się bardziej wrażliwe?

- Louise!

- Tak czy nie?

- No cóż, może odrobinę.

- Poranne nudności? Kiedy ja miałam pora...

Oczy Caroline rozszerzyły się nagle.

- Och nie, nie myślisz chyba... To nie może być... Tylko raz robiliśmy to bez zabezpieczenia.

- Kochanie, co robiłaś w młodszych klasach szkoły średniej na lekcjach wychowania seksualnego? Raz zupełnie wystarczy.

- Nie, nie mogę w to uwierzyć. To byłby złośliwy zbieg okoliczności, poza tym to byłoby nie w porządku wobec Jacka. - Złapała się za usta, a jej oczy zrobiły się jeszcze większe. - Nie, na pewno nie jestem w ciąży. To niemożliwe.

Następnego ranka, gdy tylko usiadła na łóżku, dostała mdłości. Nie było nawet czasu odpowiedzieć na gardłowe „Dzień dobry” Jacka, który leżał obok i przytulał się do jej szyi. Oczy Caroline zrobiły się okrągłe, z jękiem wyskoczyła z łóżka i przycisnęła dłoń do ust.

- Co się dzieje? - usłyszała za sobą, lecz nie było czasu na wyjaśnienia.

Chwilę później Jack wtargnął do łazienki. Zastał ją na klęczkach, z głową w muszli sedesowej. Wymiotowała.

- Dostyc tego. Zabieram cię do lekarza - oznajmił, po czym zbliżył się i podtrzymał jej głowę.

- Nie. Nie potrzebuję lekarza - jęczała, lecz ledwie ją można było zrozumieć, bowiem chwyciła ją następna fala torsji.

Kiedy było już po wszystkim, czuła się wyżęta jak mokry ręcznik, którym Jack wycierał jej twarz. Jednak nawet gdy już podniósł ją z podłogi i ułożył z powrotem w łóżku, ciągle protestowała.

- Nic mi nie jest, Jack. Naprawdę. To pewnie to chińskie jedzenie.

- Akurat. To czemu ja nie jestem chory? Leż i odpoczywaj, a ja zadzwonię po lekarza. Zaraz wrócę i pomogę ci się ubrać.

- Nie, Jack - sprzeciwiała się słabo - nie chcę lekarza.

- Nie ma gadania. Przyjedzie i już. Musimy, do diabła, dowiedzieć się, co się z tobą dzieje.

Caroline właśnie tego się obawiała.

Godzinę później Jack wyglądał, jakby zmienił się w kamień. Patrzył z nieruchomą twarzą na lekarza, siedzącego po drugiej stronie szerokiego biurka, i któryś z kolei raz zadawał to samo pytanie:

- W ciąży?

- Tak jest. Panna Smithson jest mniej więcej w szóstym tygodniu. Zapewniam pana, że takie symptomy, choć przykre i nieprzyjemne, nie są niczym niezwykłym podczas pierwszych trzech miesięcy. Nudności i zmęczenie ustąpią na początku drugiego trymestru.

- Jest w ciąży? - powtórzył Jack raz jeszcze, jakby nie usłyszał ani słowa. - Ona nie może być w ciąży.

- Zapewniam pana, że jest.

Caroline siedziała obok Jacka, mocno trzymała się krzesła i z przerażeniem spoglądała na kochanka. Sprzeczne uczucia miały ją równie gwałtownie jak poranne torsje. Jak to możliwe, zastanawiała się, żeby czuć się równocześnie tak podle i tak wspaniale w tej samej chwili?

Z jednej strony czuła się potwornie winna, z drugiej wiedziała, że przecież nie oszukała Jacka. Próbowала go ostrzec, kiedy rzucił się na nią w jej mieszkaniu. Próbowала, lecz on nie chciał słuchać.

Teraz była nieprawdopodobnie przejęta i podniecona.

Będzie miała dziecko.

Dziecko Jacka.

Nie mogła w to uwierzyć! Pragnęła tego bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Jak mogła nie być szczęśliwa z tego powodu?

Jack nie był. Siedział w grobowym milczeniu, podczas gdy doktor Lawson Udzielał Caroline instrukcji, wręczał broszury na temat opieki prenatalnej, wypisywał receptę na witaminy.

Już w samochodzie, w drodze powrotnej, wypowiedział może jedno słowo. Nie mógł nawet na nią patrzeć. Nie-szczęсна Caroline spoglądała wprost przed siebie, przyciskając dłonie do łona. Nie przychodziło jej do głowy nic, co można byłoby w tej chwili powiedzieć.

Jack również nie miał pojęcia, jak mogłaby wyglądać teraz ich rozmowa. Był zbyt zaabsorbowany tym, aby dojść do siebie po usłyszeniu szokującej nowiny od doktora Lawsona.

Zbiło go to zupełnie z tropu. Gdy wreszcie otrząsnął się z szoku, uznał swoje zachowanie za prymitywną reakcję, zakodowaną przez naturę w psychice mężczyzny, a służącą podtrzymaniu gatunku - ot, coś w rodzaju tykania zegara biologicznego Caroline. Widząc to w takim świetle, lepiej to rozumiał i kontrolował, mógł myśleć jakby trochę jaśniej.

To jednak nie rozwiązywało problemu. Chodziło o sytuację Caro. Spojrzał na nią kątem oka. Była spięta i wystraszona. Pewnie zastanawiała się, co on zamierza zrobić.

Do diabła, nie mieli wyboru.

Odchrząknął i mocniej chwycił kierownicę.

- Cóż, pobierzmy się jak najszybciej. Odwróciła gwałtownie głowę.

- Co... co powiedziałaś?

Wydawała mu się taka blada, taka krucha - od razu poczuł ukłucie niepokoju. Poród bywa trudny, czasem nawet niebezpieczny, zwłaszcza dla kobiet w wieku Caroline.

- Przypuszczam, że nie zamierzasz oddać dziecka do adopcji ani dokonać aborcji.

- Nie! Oczywiście, że nie! Nie rozumiem, jak możesz nawet o to pytać!

- Chciałem się tylko upewnić. - Byłby bardzo zdziwiony, gdyby miała taki zamiar. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że on też poczułby się zawiedziony, jeśli tak postąpiła. Nie chciał, nadal nie chce tego dziecka, lecz skoro jest już poczęte, zapewni mu należytą opiekę. Jack Riley nigdy nie był człowiekiem uchylającym się od odpowiedzialności.

- Zamierzam urodzić, niezależnie od tego, czy tobie się to podoba, czy nie.

- Skoro tak postanowiłaś, to dla dobra dziecka pobierzmy się tak szybko, jak tylko uda się załatwić formalności.

- Nie zrobimy czegoś takiego. - Spojrzała na niego z przerażeniem. - Jack, nie zmuszam cię do małżeństwa, nie zastawiłam pułapki.

- Diabła tam, Caroline, wiem, że nie zastawiłaś na mnie sideł. Ostrzegałaś, że się nie zabezpieczyłaś, a ja wolałem tego nie słyszeć. Teraz to już nieważne. Fakt jest faktem: zaryzykowałem, nie udało się - zacisnął palce na kierownicy - i teraz muszę zapłacić za to cenę.

- Cóż, dziękuję ci bardzo, jakież to wzruszające - par-

sknęła z sarkazmem. - Możesz wypchać się tym swoim szlachetnym poświęceniem. Moja odpowiedź brzmi: nie.

- Na litość boską, Caroline! Od miesiący namawiasz mnie do małżeństwa, a teraz mówisz „nie”?

- Ponieważ zgadzasz się na nie z niewłaściwych pobudek. Chcę mieć dziecko, być twoją żoną, obdarzyć cię potomkiem. Ty sobie tego nie życzysz, ale zmusisz się, bo czujesz się odpowiedzialny. Zapomnij o tym. Nie zamierzam być traktowana jako obowiązek do wypełnienia. I nie zamierzam wychowywać mojego dziecka w poczuciu, że jego ojciec jest na nie obrażony. Ty i ja dobrze wiemy, jakie to uczucie - powiedziała i nagle wybuchnęła płaczem.

Jack był oszołomiony. Caroline nie należała do kobiet płaczących z byle powodu. Parę razy pociągnęła nosem na dobrze zrobionych melodramatach, lecz nic ponadto. Teraz płakała, bo miała złamane serce. Gdyby nie to, że jechali tą cholerną autostradą, natychmiast wziąłby ją w ramiona.

- Uspokój się, Caro. Daj spokój, kochanie, nie rycz. Proszę. Znów źle się poczujesz.

Zakłęcia pozostały bez odpowiedzi. Nie wiedział nawet, czy dotarło do niej, co powiedział. Spojrzał we wsteczne lusterko, nie zważając na wściekłe klaksony zjechał z trzeciego pasa na skrajny prawy i skorzystał z pierwszego zjazdu z autostrady.

Dojechał do centrum, znalazł parking, skręcił, wyłączył

silnik. Uwolnił oboje z pasów bezpieczeństwa, by natychmiast przytulić do siebie Caroline.

- Nie! Zostaw mnie! Nie dotykaj! - Była tak zdenerwowana, że nie mogła nawet myśleć. Czuła się dotknięta do żywego, bezbronna, zraniona. Nienawidziła takich sytuacji! Nienawidziła Jacka!

- Już dobrze... - Otoczył ją ramieniem, ułożył głowę Caroline na swoich kolanach.

Wyrywała się i odpychała go, lecz była zbyt słaba, by przeciwstawić się Jackowi. Objął ją mocno i po chwili przestała się bronić.

- Uspokój się, kochanie - pocieszał ją, jakby nucił kołysankę. - No już, kochanie, no już. - Ułożył jej głowę na piersi, jedną ręką głaskał ją po włosach, drugą przesunął po plecach. Powolne ruchy i uspokajające mrużącok spowodowały, że rozluźniła się. Leżała bez ruchu oparta o jego pierś, od czasu do czasu tylko musiała jeszcze otrzeć łzę.

- Proszę - podał jej śnieżnobiałą chusteczkę - wydmuchaj nos.

Caroline posłusznie zastosowała się do polecenia. Nagle ktoś zastukał w okno od strony kierowcy. Z jej ust wyrwał się stłumiony okrzyk.

- Uspokój się, maleńka... - Jack przytrzymał ją prawą ręką, wciskając równocześnie guzik opuszczający szybę jaguara. Caroline odwróciła głowę i napotkała wzrok policjanta.

- Tak, panie władzo?

- Wszystko w porządku?

- Wszystko pod kontrolą. Moja żona jest po prostu zdenerwowana - Jack uśmiechnął się przyjaźnie do policjanta. - Widzi pan, spodziewa się dziecka, nie bardzo nad sobą panuje.

- Czy to prawda, proszę pani? Ten człowiek pani nie nastuje? Nie przetrzymuje wbrew pani woli? Widziałem, jak panią szarpał.

Caroline szybko otarła dłonią łzy, mimo to dalej była zapuchnięta. Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, panie władzo. Nic mi nie jest. Po prostu jestem trochę zdenerwowana, to wszystko - wykrztusiła pomiędzy jednym a drugim chlipnięciem.

- Jest pani pewna?

- Tak - przytaknęła.

Policjant przyjrzał się jeszcze Jackowi, po czym zsalutował jednym palcem do kapelusza.

- W takim razie proszę wybaczyć, że przeszkodziłem.

- Czemu w ten sposób z nim rozmawiałeś? - Caroline zaatakowała Jacka, gdy policjant nie mógł ich już słyszeć. - Nie jestem twoją żoną.

- Ale wkrótce nią będziesz.

- Jack, powiedziałam ci, że nie zamierzam wychodzić za mąż tylko z powodu ciąży.

- Możesz wyobrazić sobie jakiś lepszy powód?

- Tak, miłość!

- Do diabła, Caro! Wiesz przecież, że kocham cię nad życie. I nie waż mi się więcej płakać - w jego głosie była panika, bo w oczach Caroline znów pojawiły się łzy.

Zeszła z jego kolan, usiadła znów na fotelu pasażera, Podbródek Caroline drżał, ale opanowała się i chłodno spojrzała na Jacka.

- Zapomnij o tym. Świetnie poradzę sobie z dzieckiem bez twojej pomocy.

- Jestem pewien, że potrafisz, moja słodka, ale zapominasz o jednym - to także moje dziecko. Odpowiadam za jego poczęcie i będę odpowiadał za jego dobro. Poza tym będzie nosić moje nazwisko.

- Ach, tak? - Nie pomyślała o tym aspekcie sprawy. W końcu skinęła głową. - W porządku, pobierzemy się, żeby dziecko miało twoje nazwisko. Ale będziemy mieszkać oddzielnie.

- Nic z tego. Zostanie tak, jak było. Przynajmniej dopóki nie urodzisz.

Uruchomił silnik jaguara, wyjechał z parkingu i włączył się do ruchu w kierunku południowym, ku Fannin.

- To prawda, nie chcę tego dziecka - mówił, uważnie obserwując drogę przed sobą. - Ale okazało się, że nic na to nie mogę poradzić. Jego przyjście na świat zmieni nasze życie, tu też nic nie wskóram, ale prędzej diabli mnie porwą niż pozwolę, żeby nasz potomek ukradł mi ciebie.

- Nie musisz nic mówić na ten temat. Nie możesz mnie zmusić, żebym z tobą została - śmiało podjęła wyzwanie. - Nie chcę wychowywać dziecka w domu, który nie powstał z prawdziwej potrzeby, i z miłości.

Jack wysłuchał werdyktu z gniewnie zaciśniętymi

szczękami. Odwrócił głowę i usiłował wyrzucić na niej wrazenie jadowitym spojrzeniem.

- Zobaczymy - rzucił tylko.

Caroline nie zmieniła zdania i Jack wiedział, że nie ustąpi. Kiedy coś sobie postanowiła, jej upór był nie do przezwyciężenia. Przez kilka następnych dni próbował wszystkiego - przekonywał, błagał, uwodził nawet, lecz ona wciąż obstawała przy swoim: powinni się rozstać, gdy tylko urodzi się dziecko. Nie naciskał, bojąc się znów ją zdemotywować. Cięża spowodowała u Caroline nieustanną huśtawkę nastrojów, a to skrupiało się na nim.

Pewnego ranka, po szczególnie przykrym ataku mdłości, jej nastrój sięgnął dna. zaproponowała, że najlepiej będzie, jeśli po prostu odejdzie i Jack będzie miał ją z głowy. Cierpliwość Jacka wyczerpała się.

- Do diabła z tobą! Zostaniesz tu, gdzie mogę się tobą opiekować. I bierzemy natychmiast ślub. Dość tego zwlekania!

Nie miał zamiaru wysłuchiwać dłużej jej głupich argumentów, toteż nie słuchając protestów, sam załatwił wszystkie formalności i zapowiedział, że jeśli nie wyjdzie za niego dobrowolnie, to zmusi ją siłą. Wiedziała, że robi błąd, ale dla świętego spokoju ustąpiła.

Ślub odbył się trzy dni później. Krótka, przygnębiająca ceremonia w biurze sędziego pokoju. Jedynymi gośćmi byli Louise z Rogerem, ojciec Caroline i jej macocha.

Caroline spodziewała się, że poczuje się jakoś ina-

czej jako mężatka, ale uroczystość zakończyła się tak szybko i była tak zupełnie bez nastroju, że złapała ją jedynie chandra.

Potem poszli do „Vargo” na lunch z lampką szampana, głównie ze względu na ojca i jego żonę. Wszyscy udawali wzruszenie. Jedynie ojciec Caroline zbeształ ją łagodnie, wzięwszy na stronę.

- Naprawdę, Caro, wystarczy wam ślub tylko przed sędzią pokoju? Byłbym szczęśliwy, mogąc wyprawić ci przyzwoity ślub, w kościele, ze wspaniałą oprawą. W końcu jesteś moim jedynym dzieckiem.

- Nie gryź się tym, tato. Tak jest doskonale. - Pocałowała ojca w policzek. - Najważniejsze, że jesteśmy małżeństwem, przecież zawsze tego chciałeś.

- Tak, to prawda - przytaknął. - Nie powinienem narzekać.

Caroline czuła wyrzuty sumienia. Okłamywała go. Ojciec sądził, że związała się z Jackiem na resztę życia, a ona nie chciała łamać mu serca, wyjaśniając, że to jedynie tymczasowy układ.

W czasie ciągnącego się w nieskończoność lunchu odczuwała mdłości i przygnębienie. Ojciec i macocha byli szczęśliwi. Nawet Louise i Roger byli przejęci, choć Caroline wyjaśniła wcześniej wspólnicze całą sytuację.

Kiedy opowiedziała jej, że rozstanie się z Jackiem zaraz po rozwiązaniu, Louise rzuciła jej jedynie długie znaczące spojrzenie i mrużąc: „No tak, świetnie”, wróciła do swojej roboty. Zakrawało to na kołtuńskie szyderstwo.

Gdy wreszcie lunch się skończył, Jackowi ściskano dłoń, całowano, gratulowano. Obrzucono ich jeszcze ryżem i wszyscy rozeszli się, zostawiając państwa młodych samych sobie.

Caroline oparła głowę o żółty skórzany zagłówek jaguara, zamknęła oczy i westchnęła.

- Dzięki Bogu, że to już się skończyło.

- Zmęczona?

- Wypompowana, to właściwsze określenie.

- Mówiłaś ojcu o dziecku?

- Jeszcze nie. Jest mnóstwo czasu. Był taki szczęśliwy z powodu ślubu, że tę niespodziankę postanowiłam zostawić na następne spotkanie.

Otworzyła oczy i patrzyła na przesuwający się za szybą krajobraz. Dobrą chwilę trwało, nim zorientowała się, że nie jadą do domu.

- Dokąd jedziesz?- usiadła prosto.

- Na lotnisko.

- Poco?

- Musimy złapać samolot. Jedziemy w podróż poślubną - wyjaśnił spokojnie.

- Co takiego? Jack, przecież to szaleństwo! Taki ślub jak nasz może się obyć bez podróży poślubnej. Czuję się jak oszustka. Poza tym nie mam przy sobie żadnych ubrań.

- Masz. Spakowałem twoją torbę wczoraj w nocy. Spałaś jak zabita. Konsultowałem się też z doktorem Lawsonem. Mówi, że nie ma żadnych przeciwwskazań, możesz

podróżować. Powiedział nawet, że zmiana otoczenia dobrze ci zrobi. Louise natomiast zapewniła, że poradzi sobie sama w Ambience przez tych parę dni. Spojrzała na niego, kręcąc głową.

- Zadałeś sobie mnóstwo trudu, żeby to wszystko zaaranżować. Czemu?

- Dlatego że właśnie wzięliśmy ślub. Dlatego że musisz zrobić sobie przerwę i odpocząć. Dlatego w końcu, że tak wypada. Przede wszystkim zaś dlatego, że ja tak chcę. Jeśli trzeba dalej cię przekonywać, to pomyśl o długich leniwych dniach, krystalicznej wodzie, wylegiwaniu się na słońcu, na białym piasku. Kelnerzy przynoszą nam Krwawą Mary... Mary Dziewicę w twoim przypadku. Służba hotelowa robi wszystko za nas - zakończył uwodzicielskim głosem.

Caroline westchnęła.

- Przekonałeś mnie. Dokąd jedziemy?

- Antigua. Najpiękniejsze plaże na Karaibach.

Następnego dnia mieszkali już w niewielkim, lecz luksusowym domku w pobliżu plaży. Podobne budyneczki rozrzucone były wśród wysokich palm i ogrodów przylegających do głównego gmachu hotelowego.

- Tu jest przepięknie! - Gdy tylko wyszedł boy hotelowy, Caroline otworzyła na oścież francuskie drzwi.

Z tarasu mogli podziwiać białe, postrzępione fale, leniwie rozbijające się o brzeg, i jasny księżyc, odbity na pomarszczonej powierzchni wody. Na tle rozgwieźdzonego

nieba palmy rzucały purpurowe cienie. Morze szumiało, a z głównego budynku, trochę bardziej na lewo, dochodziły przytłumione dźwięki muzyki.

Jack stanął za Caroline, objął ją w talii, podbródek oparł na jej skroni.

- Schłodzony szampan czeka. Bezalkoholowy, ale li czy się symbol. Puściłem wodę do wanny. - Nachylił się do jej ucha tak, że czuła jego gorący oddech. - Mam też dla ciebie nowy negliz i nocną koszulę - zamruczał. - Z białej satyny, z koronkami. Bardzo seksowna.

Caroline była jednocześnie poruszona i zasmucona.

- Och, Jack, to wszystko jest urocze, ale naprawdę nie powinieneś robić sobie tyle kłopotu. To raczej wakacje niż podróż poślubna.

Chwycił ją za ramiona i delikatnie, choć zdecydowanie, odwrócił ku sobie.

Niebieskie oczy, lśniące spod półprzymkniętych powiek, i uwodzicielski grymas ust sprawiły, że serce w niej drgnęło. Palce Jacka powędrowały po jej szyi, wywołując dreszcze.

- Mylisz się, kochanie - wyszeptał ochryple.

Caroline drżała, oddech miała płytki, skóra paliła. Powoli otworzyła usta, Jack przysunął się jeszcze bliżej, ciężkie powieki opadły, westchnęła.

Jego zapach upajał niczym wyborne wino, całą sobą czuła żar jego ciała. Cicho jęcząc, chciała przytulić się jeszcze mocniej, lecz Jack przytrzymał ją za ramiona, odsunął.

- Bardzo się mylisz - szepnął jej wprost do ust. - To na pewno jest miesiąc miodowy.

A potem zaczął udowadniać Caroline, że to prawda, że są szczęśliwą młodą parą, która wreszcie może do woli cieszyć się sobą; a udowadniał umiejętnie i z wielkim zaangażowaniem.

RRS

Rozdział 6

Pierwsze trzy miesiące małżeństwa były dla Caroline jedynie mglistym wspomnieniem - od rana do wieczora nudności, znużenie, letarg. Mdłości dopadały ją o każdej porze dnia i nocy, również i w drugim trymestrze. Jeśli nie wisiała nad muszlą, to potwornie chciało się jej spać. Ledwo mogła się zwlec i pojechać do studia, lecz pokonywała słabość. Usiłowała wykonywać swoją pracę normalnie, ale i tak większa część roboty spadała na barki Louise.

Caroline czuła się fatalnie z tego powodu. Ilekroć jednak zaczynała przeproszać, Louise przerywała jej obcesowo.

- Nie jęcz. Od tego są przyjaciele. I współnicy. Poza tym robiłaś to samo dla mnie dwukrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Tak, ale nie przypominam sobie, żebyś tak chorowała czy była równie ociążała. Większość czasu spędzam prawie nieprzytomna, zupełnie jakbym była w stanie śpiączki. Prawie ci nie pomagam.

Louise roześmiała się.

- Zawsze się nam wydaje, że dużo gorzej znosimy własne cięższe niż inne kobiety. Uwierz mi, proszę, przecho-
dziłam przez to samo. Po prostu pamiętaj, że już niedługo
będzie po wszystkim.

Caroline oparła głowę na biurku.

- Czuję się tak, jakbym była w ciąży od roku.

Gdyby Jack mniej się nią interesował, w ogóle nie przy-
chodziłaby do pracy. Był przerażony trwającymi bez końca
nudnościami. Przekonany, że musi to być coś bardzo po-
ważnego, martwił się, że cały czas chce jej się spać. Pilno-
wał jej niczym pies łańcuchowy i wzywał doktora Lawso-
na, gdy tylko zakaszłała. Doprowadzał ją prawie do szaleń-
stwa tym swoim zamartwianiem się.

Od czasu kiedy się poznali, jeszcze go takim nie widziała.
Robił wszystko, żeby unikać podróży służbowych, zawsze
starał się wysyłać podwładnych.

Jack nalegał, żeby z powodu złego samopoczucia całe
dnie spędzała w łóżku. Caroline jednak nie chciała słyszeć
o zwaleniu wszystkiego na barki Louise. Ostatecznie jej
mąż poszedł na kompromis: w magazynie Ambience usta-
wił łóżko polowe i wymógł na Louise obietnicę, że dopil-
nuje, by jej współpracowniczka zdrzemnęła się przynajmniej raz
dziennie.

Caroline była już w czwartym miesiącu, przytyła trochę w
talii, zaś brzuch powiększył się tylko nieznacznie. Za to
piersi, niezmiernie teraz wrażliwe, urosły prawie dwu-
krotnie. Nawiasem mówiąc, Jack był zafascynowany tymi
zmianami.

I nic dziwnego. Był przecież mężczyzną o zdrowym seksualnym apetycie. Jednak przez pierwsze kilka miesięcy, kiedy tak straszliwie chorowała, mógł jedynie trzymać ją w ramionach, gdy już usnęła. Kiedy mdłości ustąpiły, a ciało zaczęło się zmieniać, kochali się bardzo delikatnie. Jack troszczył się o partnerkę, kontrolował swoją siłę i naturalną spontaniczność. Bał się zrobić jej krzywdę i traktował tak, jakby była z delikatnego kryształu.

Caroline uwielbiała tę czułość, lecz jednocześnie brakowało jej dawnego Jacka, pełnego wigoru i fantazji kochanka, czasem więc złościła się na dziecko, które miało się urodzić...

I wtedy przypominało się jej, że choć zdarzył się cud, trzeba będzie rozstać się z ukochanym, który teraz był jej mężem.

Ilekcio podnosiła kwestię separacji po narodzinach dziecka, Jack zawsze zmieniał temat i po prostu nie chciał o tym rozmawiać. Oboje zdawali sobie jednak sprawę, że pragnie jedynie odwlec to, co nieuchronne.

Jack zachowywał się cudownie przez cały ten czas. Troszczył się o Caroline, zabawiał, kiedy miała kiepski nastrój, doglądał w chorobie. Był zdecydowany zrobić wszystko dla niej i dla dziecka. Caroline wiedziała jednak, że gdyby dysponował czarodziejską różdżką mógł odwrócić bieg czasu, sprawy przybrałyby inny obrót, zgodny z jego poglądami na życie. Zasmucało ją to, lecz mogła zrozumieć ten punkt widzenia. Nie miał ochoty zostać mężem i ojcem, a ona nie chciała narzucać mu stylu życia, którego

nie apróbował. I, co ważniejsze, nie zamierzała wychowywać dziecka w domu, który nie powstał całkowicie i bezdyskusyjnie w oparciu o miłość, w domu, którego założenia nie pragnęli w równym stopniu oboje rodzice.

W piątym miesiącu brzuch Caroline zdecydowanie się zaokrąglił, w szóstym zaczęła narzekać na swoją figurę.

- Wyglądam jak piłka do koszykówki - żaliła się Louise, oglądając swoje odbicie w trójdzielnym lustrze, zainstalowanym w sklepie, gdzie miała właśnie zamiar kupić trochę ciążowych ciuchów. - Czułam się świetnie, a teraz wyglądam jak balon! Od wyjazdu Jacka, przez trzy tygodnie, przybyło mi pięć kilo! Nie widzę własnych stóp!

- To już tak musi być, dziecinko - Louise nie okazywała współczucia. - Przykro mi o tym mówić, ale zanim się polepszy, trzeba swoje odcierpieć.

- Serdeczne dzięki! Bola mnie plecy, nogi... kostki mi puchną. Codzienne czynności są dla mnie jak wielkie przedsięwzięcia, nie mówiąc już o tym, że wymagają niemal ekwilibrystycznych wyczynów. Cokolwiek zjem, pali mnie zgaga. No a pęcherz? Chyba ktoś mi tam wjechał ciężarówką! I ty mi mówisz, że będzie jeszcze gorzej?

- Niedługo poczujesz się jak wieloryb wyrzucony na brzeg. Będiesz przelewać się z nogi na nogę jak kaczką, wieczorem palce u stóp będą puchły niczym kielbaski. Żyłaki, siniaki...

- Przestań! Mogę sobie to wyobrazić. Nie mam na to najmniejszej ochoty, ale cóż, muszę przebrnąć przez to wszystko.

Louise roześmiała się.

- Wiesz, powiada się: „uważaj, bo twoje życzenia mogą się spełnić”. Chciałaś dziecka i to jest cena, którą płacisz, przyjaciółko. Ale nie martw się, obiecuję ci, że to się opłaci. Wystarczy, że przytulisz swojego dzieciaka.

- Wiem. To jedyna rzecz, która pozwala mi funkcjonować. Ale na razie wyglądam jak piłka.

- Więc o to ci chodzi? Jack zdaje się nie przywiązywać do tego wagi.

- Jeszcze mnie nie widział w takiej formie. Pewnie będzie zszokowany zmianami, które zaszły przez tych parę tygodni.

- Kiedy ma wrócić?

- Za jakiś tydzień. - Caroline odwróciła się, podziwiając pod innym kątem swoje bujne kształty. - Bóg jeden wie, jak do tej pory będę wyglądać.

Winda zatrzymała się na dziewiątym piętrze, Jack chwycił walizki i wysiadł. Był zmęczony, ale szczęśliwy z powrotu do domu. Podróż była piekielna. To, co powinno trwać trzy godziny, zajęło bez mała dziesięć; czterogodzinne opóźnienie spowodowało, że spóźnił się na drugi samolot, a potem umilały mu jeszcze czas turbulencje w powietrzu. Na domiar wszystkiego jego sąsiadem w samolocie był jakiś wstrętny pijaczyna. Jego towarzystwo sprawiło, że ostatni etap podróży wydawał się dwukrotnie dłuższy niż był w rzeczywistości.

Ot, stosowne zakończenie cholernej podróży służbowej.

Oczywiście sam był sobie winny. Pracował jak szaleniec, aby robotę przeznaczoną na cztery tygodnie wykonać w trzy, popędził również do galopu pracowników biura w Detroit. W przyszłości pewnie będą uciekać na sam jego widok.

Jack skrzywił się, stawiając bagaż i sięgając do kieszeni spodni po klucze. Chciał jak najszybciej być znowu z Caroline. Poradził sobie z zamkiem, podniósł walizki, wszedł i barkiem zatrzasnął drzwi. W przedpokoju odetchnął z ulgą. Nareszcie w domu.

Nigdy nie lubił zostawiać Caroline samej. Kochał jednak swoją pracę, a podróże były z nią nierozzerwalnie związane. Zaakceptował więc rozłąkę jako coś koniecznego i w trakcie wyjazdów rzucał się w wir roboty, żeby zagłuszyć tęsknotę.

Tak jednak było, nim Caroline zaszła w ciążę. Teraz martwił się o nią podwójnie.

Co będzie, jeśli zdarzą się komplikacje? Co się stanie, jeżeli będzie miała jakieś kłopoty w czasie jego nieobecności? Jeśli zemdleje albo się zrani?

Ten niepokój był trudny do zniesienia. Dlatego właśnie powiedział swojemu szefowi w Tilson & Dodd Engineering, że przez najbliższe trzy miesiące nie może ruszać się z domu. Jeśli coś wypadnie, będą musieli posłać kogoś innego. Nie wyjedzie z Houston do czasu porodu.

W salonie paliły się światła, lecz Caroline tam nie było. Na końcu korytarza widać było smuzkę, sączącą się przez uchylone drzwi jej sypialni. Uśmiechnął się i ruszył w tym kierunku.

Stanął w drzwiach i zamierzał zawołać coś na powitanie, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Caroline stała przed wysokim na całą ścianę, oprawnym w ramy lustrem, ubrana jedynie w ażurowe białe majtki z ciężowym pasem z przodu oraz biały bawełniany biustonosz przeznaczony dla kobiet w jej stanie.

Ogarnęło go błogie uczucie. Cudownie było znów ją zobaczyć. Nigdy nie czuł się naprawdę dobrze z dala od tej kobiety.

Przyglądał się jej oszołomiony. Kiedy opuszczał biuro w Detroit, jeden z inżynierów, znający Caroline, napomniał Jacka, by dbał o żonę najlepiej, jak potrafi. Poruszyły go te słowa. Przyglądając się teraz Caroline, uśmiechał się pod nosem.

Jego żona.

Nie przywykł jeszcze tak o niej myśleć, lecz musiał przyznać, że w tych słowach pobrzmiewała jakaś duma posiadacza, która była całkiem przyjemna.

Patrzył, jak ze stosu ubrań wyciąga suknię, przymierza. Sądząc po ich ilości, musiała właśnie zrobić większe zakupy. Kręciła się tam i z powrotem, sprawdzała, jak wygląda w sukience ogromnych rozmiarów, marszczyła brwi.

- Hops! - zamruczała, co wywołało uśmiech męża.

Ściągnęła suknię przez głowę, sięgnęła po następną.

Znów przez chwilę paradowała jedynie w majtkach i biustonoszu. Przyjrzała się krytycznie swojemu odbiciu.

- Zupełnie jak wieloryb wyrzucony na plażę, bez dwóch zdań...

Jack znów się uśmiechnął, lecz zaraz spowaźniał, mogąc się teraz dokładnie przyjrzeć żonie z profilu. Przed jego wyjazdem, trzy tygodnie temu, brzuch przypominał małą dynię, teraz zaś był rozmiarów plażowej piłki. Dobry Boże, przecież ona ma jeszcze przed sobą prawie trzy miesiące! Jeśli będzie przybierała na wadze w tym tempie, pęknie i rozsypie się na kawałki!

Przyglądał się, jak Caroline przymierza kolejne ubrania, i ogarniała go konsternacja. Był święcie przekonany, że przebrnięcie przez okres ciąży będzie wymagało od niego ponadludzkiej cierpliwości. Sądził, że może będzie musiał nawet walczyć ze zniechęceniem i uczuciem obrzydzenia, był na to przygotowany. Tymczasem okazało się, że zaangażował się całkowicie, że był wręcz oczarowany przebiegiem ciąży.

Trzymał ją za głowę, ocierał twarz, gdy chorowała. Masował jej nogi, kiedy miała skurcze, udzielały mu się jej nastroje. Przymilał się, kiedy Caroline była smutna, pocieszał, kiedy bez powodu wybuchała płaczem, radował się wraz z nią, kiedy uważała, że cały świat leży u jej stóp.

Uśmiechnął się melancholijnie, wspominając, jak zwlekał się z trudem o poranku, by przygotować jakąś niebywałą potrawę, której nagle zapragnęła, jak podnosił ją z fotela, bo nie mogła sama sobie poradzić, jak kilka razy w ciągu nocy prowadził do łazienki, kiedy domagał się tego pęcherz Caroline.

We wszystkich tych poczynaniach było oczywiście jego dobre serce, ale też i jakieś poczucie dumy. Tak, męska

duma wypełniała jego serce, a myśli Jacka koncentrowały się wokół dziecka.

To głupota. Czy zapłodnienie kobiety to powód do dumy? To przecież nic niezwykłego, żaden specjalny wyczyn ani cud. Jego rola to tylko kilka chwil intensywnej przyjemności.

Wielkie mi rzeczy. Idiotyzmem było dać się złapać w romantyczną pułapkę ojcostwa. Patrząc realnie, dziecko oznaczało odpowiedzialność i powinien myśleć o nim wyłącznie w tych kategoriach. A miłość? Mój Boże... W końcu on go nie chciał, nada! nie chce. Uwielbiał życie, które prowadzili z Caroline sami, we dwojkę, i nie zamierzał niczego w nim zmieniać. A już na pewno nie miał ochoty wprowadzać w to życie trzeciej osoby.

Czymże bowiem jest dziecko? Dziwaczną istotą pozostawioną poza kręgiem zainteresowania dorosłych - tak on czuł się przez całe dzieciństwo. Dojrzał, dowiedział się, skąd biorą się dzieci, i wtedy uświadomił sobie, że sam nie chce ich mieć. Posiadanie dzieci jest dokuczliwe i uciążliwe. Powiedzieli mu to głośno i wyraźnie rodzice, powtarzali ojczymowie i macochy. Zastanawiał się często, dlaczego w takim razie ktoś dobrowolnie decyduje się na potomstwo.

Mimo wszystko, chciał czy nie chciał, dziecko miało wkrótce przyjść na świat. Caroline, z wrodzoną determinacją i uporem, za wszelką cenę chciała mieć potomka.

Nawet za cenę rozstania się z nim, z Jackiem.

Wzdrygnął się. Te rozmyślania sprawiły, że poczuł strach, jakby ktoś miał zaraz wypatroszyć go tępym nożem.

Do tej pory nie wiedział, jak poradzi sobie w roli ojca. Caroline miała rację. Dziecko zasługuje na miłość, powinno być chciane i oczekiwane. Zdawał sobie z tego sprawę. Czy nie za tym właśnie tęsknił w dzieciństwie? Nie wiedział jednak, jak zapewnić to własnemu dziecku. W gruncie rzeczy Jack bardzo przypominał teraz swojego ojca, zamkniętego w sobie człowieka, oderwanego od rzeczywistości i żyjącego własnymi sprawami. Człowieka, który nie jest w stanie widzieć dalej niż czubek własnego nosa. Czy ktoś taki może być kochającym rodzicem?

Tak, oczywiście, że fascynowały go zmiany zachodzące w ciele jego żony, błyskawiczny rozwój płodu. Ale była to zwykła ciekawość. Nie odczuwał żadnych specjalnych emocji związanych z ojcostwem. Miał do wyboru: wybrnąć jakoś z tej sytuacji lub utracić Caroline.

Caroline powiedziała mu wyraźnie, że zamierza od niego odejść, kiedy tylko dziecko przyjdzie na świat. Była wtedy bardzo zdenerwowana i nie potraktował tego serio. Teraz nie był już taki pewien.

Później kilkakrotnie próbowała wracać do tego tematu, lecz Jack zawsze jakoś zdołał wykręcić się od dyskusji. Niemniej jednak problem ten ciążył nad nimi jak kłątwa.

Caroline była tak przejęta dzieckiem, tak zaabsorbowana zapewnieniem mu jak najlepszej przyszłości, że mogła z tego powodu wykreślić Jacka ze swojego życia. I to nawet jeśli wiedziała, że zraniłoby to ją tak samo, jak jego. Do diabła, zraniło to za mało powiedziane, to by go zabiło.

Żeby do tego nie doszło, zaciskał zęby i gotów był znieść wszystko, łącznie z małżeństwem i ojcostwem.

Caroline ściągnęła kolejną sukienkę. Tym razem mruzczała do siebie: „całkiem jak hipopotam, jak wytarzany w błocie hipopotam...”. Odrzuciła suknię z obrzydzeniem, położyła dłonie na wzdętym brzuchu i zamyśliła się.

- Coś nie tak? O co chodzi, Caro? - odezwał się wreszcie Jack.

Podskoczyła gwałtownie, zupełnie jakby ktoś wrzucił do pokoju petardę.

- Jack! Wystraszyłeś mnie. Co ty tutaj robisz? Powinneś wrócić dopiero w przyszłym tygodniu.

Zignorował jej pytania, pewnym krokiem przemierzył pokój i spojrzał z troską na ręce żony splecione dostojnie na brzuchu.

- Coś nie tak? - zapytał ponownie.

- Nie tak?

- Zatrzymałaś się raptownie, złapałaś za brzuch...

- Ach, o to chodzi. - Caroline spojrzała na swoje brzuszko. - Po prostu poczułam, że kopie.

- Naprawdę? Rzeczywiście kopnęło? - Jack zachował dystans, był nieco przestraszony, zdziwiony i zarazem zainteresowany.

- Mhm. Niezły z niego zawodnik. O Jezu, znów zaczyna!

Jack zbliżył się i położył dłoń na brzuchu żony. Caroline przesunęła ją lekko, przytrzymała. Przez chwilę nic się nie działo, wreszcie wyczuł wyraźnie ruch wewnątrz łona.

Oczy mężczyzny zrobiły się okrągłe jak spodki, napotkały wzrok Caroline.

- Dobry Boże! Czy to cię nie boli?

- Nie - zaprzeczyła ze śmiechem. - Tylko to takie... bardzo szczególne uczucie.

Uśmiechała się promiennie, w jej oczach skrzyła się nieopisana radość. Jack czuł się zupełnie nie na miejscu. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak wiele to dziecko znaczy dla Caroline. Wyglądała, jakby ktoś ofiarował jej gwiazdkę z nieba. To nie była zwykła zachcianka spowodowana biologią, to była potrzeba płynąca z głębi serca.

Ty stary durniu, zaczął wyrzucać sobie w duchu, przecież ona usiłowała ci to powiedzieć przez cały czas!

Zrobiło mu się słabo na samą myśl, że usiłował jej tego odmówić.

Dziecko znów kopnęło. Trzy razy pod rząd. Jack wstrzymał oddech, napotkał rozmarzone spojrzenie Caroline i uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Uspokój się - wyszeptał do dziecka.

- Jack, to nie boli. Naprawdę. A teraz daj mi założyć sukienkę- powiedziała, sięgając po ubranie.

- Nie. Chcę na ciebie patrzeć - stwierdził, zabierając jej sukienkę i prowadząc w kierunku łóżka.

- Ach, Jack, daj spokój... - Na próżno usiłowała osłonić brzuch dłońmi.

- Co z tobą, Caro? Wstydzisz się? Mnie? - Zbolały wygląd żony starczał za całą odpowiedź. Patrzył na nią

przez chwilę z wielkim zdziwieniem, aż wreszcie wybuchnął gromkim śmiechem. - Kochanie, przecież oglądałem cię wiele razy, dotykałem i całowałem każdy kawałeczek twojego malutkiego ciała.

- Ono nie jest już takie malutkie - westchnęła żałośnie, próbując okryć się narzutą z łóżka.

- Więc tu jest pies pogrzebany - oznajmił z miną odkrywcy, usiłując odebrać jej kapek.

- Jack, przestań! Zrobiłam się wielka jak kamienica i nie mam ochoty, żebyś na to patrzył. Jack, oddaj to! - uzalała się.

- E tam, ja chcę popatrzeć. - Rozsunął tkaninę i przypatrywał się z miłością jej sterczącemu brzuszysku. Dotknął go, dziwiąc się, że jest taki twardy, napięty i gorący. Nie usatysfakcjonowany, usiłował ściągnąć jej majtki. Caroline złapała go za rękę.

- Jack, nie!

- Caro, nie wygłupiaj się! To ja, pamiętasz mnie jeszcze?

- Wyszczrzył zęby. - To ja, twój mąż. Nie mamy przed sobą sekretów.

- Ale...

- Cicho... Daj popatrzeć, przecież to także moje dziecko. - Nie zważając na protesty, zsunął ubranie z jej ciała, a gdy to uczynił, zaczął wpatrywać się w nią z fascynacją. Caroline zamknęła oczy, zagryzła dolną wargę, aby powstrzymać jej drżenie.

Jack tymczasem czuł się tak, jakby jakaś ogromna dłoń schwyciła go za serce. Jeszcze nic nie poruszyło go tak

głęboko, jak widok brzucha żony, w którym skrywało się dziecko.

Jego dziecko.

Ostrożnie położył dłoń na mlecznobiałej piersi, przeszedł go dreszcz. Naprężona skóra była niebywale ciepła i gładka jak jedwab.

Miotają nim rozmaite uczucia. Duma, być może nieuzasadniona, lecz wciąż obecna, zdumienie, satysfakcja, obawa... i żądza.

- Cudowne - wymamrotał.

Caroline spojrzała na męża spod półprzymkniętych powiek.

- Jestem wielka jak wieloryb i ohydna.

- Nieprawda. Nic piękniejszego jeszcze w życiu nie widziałem.

- Mówisz tak tylko dlatego, żeby polepszyć mi samopoczucie.

Musiał się roześmiać, słysząc jej nadąsany ton. Chciał zaprzeczyć, lecz jej wydęte usta wprost zapraszały do pocałunku. Nie trzeba było specjalnie go zachęcać.

Pocałował ją namiętnie, potem czule, a potem spojrzał jej głęboko w oczy i powiedział:

- Mówię ci to, bo to prawda. Jesteś wspaniała.

- Jestem wielka, bezkształtna, wyzbyta seksapilu. Pewnie się brzydzisz, patrząc na mnie.

- Tak myślisz? - Złapał ją za rękę i przycisnął sobie do piersi. - Czy tak wygląda zniesmaczony facet?

- Jack! - otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Niepociągająca? W żadnym wypadku! - Przytulił ją ponownie. - Kochanie, twoje dojrzałe, małe ciało stanowi najbardziej erotyczny widok, jaki kiedykolwiek widziały moje oczy. Strasznie mnie to podnieca.

- Och, Jack, naprawdę tak uważasz?

- Tak, naprawdę. Poczekaj chwilkę.

Uśmiechnął się szatańsko, w jego oczach znać było żądę. Pochylił się i zaczął drażnić językiem nabrzmiące, wrażliwe sutki. Caroline wygięła się do tyłu, krzyknęła, a on całował już jej szyję, wzdęty brzuch, po czym zszedł niżej, aż do miejsca gdzie łączą się uda. Caroline jęczała i wiała się z głową wciśniętą w poduszkę. Kiedy już nie mogła nad sobą zapanować, Jack podniósł się i szybko zdjął ubranie.

Wyciągnął się na powrót pomiędzy jej udami.

- Boże, jak ja ciebie pragnę! - wyszeptał. Wszedł w nią delikatnie. Caroline krzyknęła.

Rozdział 7

Jack oderwał oczy od mokrej jezdni i przyjrzał się z troską Caroline.

- Wszystko w porządku? Nie zmęczył cię za bardzo ten wieczór? Wiem, Bainbridgesowie to nudziarze, ale on jest ważnym klientem.

- Czuję się doskonale - uśmiechnęła się.

- Na pewno? Nienawidzę zabierać cię na te nieciekawe kolacje, na których załatwia się interesy, ale z drugiej strony nie uśmiecha mi się zostawiać cię samej na miesiąc przed rozwiązaniem.

- Nie martw się, jestem bardzo szczęśliwa.

Jack uśmiechnął się pod nosem. Na Boga, to święta prawda! Caroline wprost emanowała szczęściem. Tak było od chwili, kiedy skończyły się przypadłości pierwszych kilku miesięcy. Szczęście było w jej oczach, w uśmiechu, w pełnych gracji ruchach. Widząc tę wewnętrzną radość, nie można było mieć wątpliwości, ile znaczy dla niej macierzyństwo.

Jack był zafascynowany zmianami, które zaszły w Ca-

roline. Rozkwitła w ciągu ostatniego miesiąca. Była wyciszona, łagodna jak madonna. Zdawało się, że płonie w niej jakieś nieziemskie światło. Zawsze podziwiał jej urodę, lecz teraz wprost zapierało mu dech w piersi, gdy na nią patrzył.

Mój Boże... A spodziewał się, że jej zwalista figura nie będzie go pociągać.

Żałował trochę, że Caroline jest już w dziewiątym miesiącu i nie może sobie pozwolić na seks, lecz pęczniejąca figura żony fascynowała go także pod innymi względami. Ilekroć czuł dziecko poruszające się w brzuchu, doznawał niezwykłych, zupełnie nowych uczuć. Były one tak silne, że ulegał im całkowicie.

Usiłując przebić wzrokiem ciemność i strugi deszczu, zdjął nogę z hamulca i nacisnął gaz, gdy zapaliło się zielone światło. Do tej pory nie analizował jeszcze dokładnie tych uczuć, nie był pewien, czy mu na tym zależy.

Byli właśnie w połowie skrzyżowania, kiedy nagły pisk opon przerwał tok jego myśli.

- Cholera! - wykrzyknął i zacisnął mocniej palce na kierownicy.

Po chwili coś zgrzytnęło, huknęło i polecieł w bok.

Do licha! Ktoś na nich wjechał!

Jack słyszał brzęk szkła, chrzęst rozdieranej blachy, pisk Caroline... Walczył o odzyskanie kontroli nad wozem, lecz jaguar obrócił się wokół własnej osi na mokrej nawierzchni i wpadł w poślizg, zataczając na jezdni esy-floresy. Tył samochodu uderzył od strony pasażera w inne.

zaparkowane auto. Odbili się i znów znaleźli na środku ulicy.

Wreszcie wytracili szybkość, najeżdżając na krawężnik.

Zapadła cisza. Samochód stał przodem do kierunku, z którego przyjechali, o parę metrów dalej od miejsca, gdzie nastąpiła kolizja.

Jack, z rękami wciąż zaciśniętymi na kierownicy, usiłował przyjść do siebie. Spojrzał na Caroline i przeraził się.

Po twarzy spływała jej krew. Miała rozcięte czoło, była papierowo blada. Jej ręce kurczowo zaciskały się na brzuchu. Miało się wrażenie, że w żyłach kobiety krąży lód, a nie krew.

- Caro! O Boże, kochanie, jesteś ranna?

Odwróciła głowę w kierunku męża, na jej twarzy malował się niewysłowny ból, w oczach czaiło się przerażenie.

- Dziecko! - wyszeptała. - Jack, pomóż mi! Stracę je!

Droga ambulansem do szpitala zdawała się trwać w nieskończoność. Caroline tak bardzo cierpiała i była tak przestraszona, że Jack odchodził niemal od zmysłów. Gotów był urządzić komuś awanturę. Nieważne komu.

Doktor Lawson został natychmiast powiadomiony o wypadku. Czekał przed drzwiami izby przyjęć w towarzystwie lekarzy i pielęgniarek zajmujących się urazami. Jack od razu naskoczył na położnika, na zmianę złorzeczając i wydając rozkazy.

- Pan ich uratuje, doktorze! Rozumie pan? Do diabła, ma pan ocalić oboje! Dotarło? - Biegł obok wózka, popy-

chanego przez personel, trzymał Caroline za lodowatą dłoń i modlił się do Boga, by zechciał uratować Caroline i jej dziecko. Do licha, przecież także i jego!

Doktor Lawson był tak pochłonięty oględzinami pacjentki, że nie docierały do niego słowa Jacka.

- Słyszysz mnie pan? Cholera, nie mogę ich stracić! Boże, nie odbieraj mi żadnego z nich! Proszę!

- Panie Riley, nie może pan tam wejść. - Złapano go za ramiona i odciągnięto od wózka. - Niech pan nam pozwoli zająć się żoną.

- Wpuśćcie mnie! Wpuśćcie! - krzyczał i patrzył, jak Caroline znika za dwuskrzydłowymi drzwiami. - Muszę być przy żonie! Puszczajcie!

- Przykro mi, panie Riley, do gabinetu wstęp mają jedynie lekarze i pielęgniarki. Gdy tylko załatwimy wszystkie niezbędne formalności, może pan tam przejść. Na razie proszę iść tam, za tymi drzwiami jest przyjemna poczekalnia.

Jack stanął na środku korytarza i gapił się bezradnie na kołyszące się drzwi.

- Mój Boże-jęknął.

Godzinę później Jack wciąż siedział na ławce w poczekalni, z łokciami wspartymi na kolanach. Dłonie złączył jak do modlitwy. Błagam cię, Boże, spraw, żeby im się nic nie stało, modlił się niestrudzenie. Proszę...

W momencie, kiedy zorientował się, że może stracić nie tylko Caroline, ale i dziecko, poczuł, że coś chwyta go za

gardło. Zrozumiał, że desperacko go pragnie. Kochał Caroline całym sercem i duszą, a dziecko, które nosiła, było owocem tej miłości, stanowiło częśćkę obydwójga.

Jeśli ono nie przeżyje, wstrząs będzie straszliwy, dla Caroline i dla niego.

- Uspokój się, Jack, nie trać nadziei. - Louise usiadła obok niego, otoczyła ręką barki mężczyzny. Nie pamiętał rozmowy z nią, ale widać musiał zatelefonować, bo zjawiała się w poczekalni w trzydzieści minut po wwiezieniu Caroline do gabinetu.

- To moja wina. Powinienem bardziej uważać. Nie zobaczyłem tego faceta, inaczej jakoś bym go ominął.

- Jack, ten gość przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle, przekroczył ograniczenie prędkości. Nie było sposobu, żeby uniknąć zderzenia. Więc może przestań się obwiniać, dobrze?

- Może gdybym...

Przerwał, zrywając się na równe nogi. W drzwiach stanął doktor Lawson.

- Co z nią? Co z dzieckiem? Wszystko dobrze?

- Spokojnie, Jack. Twoja żona ma się dobrze, założyliśmy jedynie kilka szwów.

- A dziecko? Czy ono...

- Czy żyje? Oczywiście, że tak. Usiłowaliśmy opóźnić poród, ale się nie udało. Jakies dziesięć minut temu twoja żona urodziła zdrową, śliczną córeczkę. Waży niecałe trzy kilo.

Jack gapił się na lekarza, jakby ten oznajmił mu właśnie,

że został prezydentem. Podrapał się po głowie, z trudem przełknął ślinę.

- Dziewczynka! Słyszałaś, Louise? Caroline i ja mamy córkę.

- Słyszałam - odparła Louise, uśmiechając się wyrozumiale.

Jack zobaczył córeczkę w pół godziny później, kiedy wreszcie wpuszczono go do pokoju żony. Caroline siedziała wsparta o poduszki, spoglądając na różowo białe maleństwo, które trzymała w ramionach. Wyglądała niczym piękna madonna, promieniowała od niej miłość.

Przez dobrą minutę stał cicho w drzwiach, sycąc oczym widokiem. Przeżywał tę chwilę tak silnie, że nieomal się dusił.

Oto jego żona i jego córka.

Delikatny wygląd Caroline nie pozwalał mu wejść do pokoju. Zachwycał się promieniującą z niej czułością, wewnętrznym ogniem widocznym na twarzy. Była samą esencją kobiecości, macierzyństwa i miłości. Jack wiedział, że zapamięta ten moment na całe życie.

Wreszcie, nie spuszczać wzroku z żony, wkroczył do pokoju.

- Wiesz, jak cudownie wyglądasz? - powiedział miękko, a Caroline odpowiedziała mu radosnym uśmiechem.

- Podejdź, Jack, obejrzyj ją. Jest taka krucha.

Jack stanął przy łóżku i przypatrywał się córce. Przepęłniało go uczucie miłości, z trudem łapał oddech. Doświad-

czał czegoś takiego pierwszy raz w życiu. Czy właśnie to słodkie, bolesne, obezwładniające uczucie sprawiało, że ludzie przez pokolenia pragnęli mieć dzieci? - pytał sam siebie. Niezależnie od tego, jaki ponury i szalony byłby świat?

- Jest piękna - wyszeptał ze ściśniętym gardłem, dotykając główki dziecka.

- Och, Jack, naprawdę tak uważasz?

Uderzył go niepokój, wyraźnie słyszalny w tym pytaniu.

- Wspaniała - powiedział cicho. - Tak jak ty. - Dotknął policzka Caroline. - Och, Caro, tak się bałem, że stracę was obie.

- Obie? Czy to znaczy...?

- Że w końcu zrozumiałem, jakim byłem idiotą? - dookończył za nią. - Tak. Kocham cię, Caroline, i kocham naszą córkę.

Wpatrywali się w siebie ze wzruszeniem. To, co czuli, było zbyt głębokie i piękne, by dało się wyrazić. W rozmurzonych oczach Caroline była miłość i zdumienie. Jack był wystraszony i pełen podziwu, a jednocześnie dumny dumą posiadacza.

- Caroline - wyszeptał raz jeszcze i pocałował ją miękko w usta.

Dziecko leżało pomiędzy nimi. Pocałunek był wspaniały, ale dziewczynka zaczęła popiskiwać.

- Wydaje mi się, że zostaliśmy zbesztani - zażartował Jack. Caroline odsłoniła główkę dziecka. Roześmiali

się oboje, widząc, jak małe różowe usteczka koniecznie chcą ssać.

Siedząc na krawędzi łóżka, Jack sięgnął oburącz po dłoń żony i przytrzymał ją, patrząc jej prosto w oczy.

- Caroline, miłości mojego życia, czy wyjdiesz za mnie?

- Mam wyjść za ciebie? Przecież... wzięliśmy ślub - protestowała bez przekonania.

- Formalnie tak, ale tym razem chcę to zrobić tak jak się należy, i z innych, tym razem właściwych powodów. W kościele, w obecności przyjaciół... i naszych rodzin. Chcę, żeby wszyscy przekonali się, jak wiele dla mnie znaczą ty i nasza córka.

Ta płynąca z głębi serca deklaracja tak zdumiała Caroline, że zaniemówiła. Wpatrywała się jedynie w Jacka i potakiwała, a łzy płynęły po jej twarzy.

Sześć tygodni później, w Dzień Matki, w ukwieconym kościele wypełnionym po brzegi, w obecności ojca Jacka w roli drużby i Louise - druhny trzymającej w ramionach Anę Beth, Jack i Caroline ślubowali sobie miłość, i połączyli się węzłem małżeńskim.

Na zawsze.